

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.

W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.

W W. Ks. Poznańskim: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.

W Galloy: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE, SPÓŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje.

Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.

Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.

Adres Redakcyi. — Warszawa — Nowy-Swiat Nr. 4.

Dzienniki podały już opisy strasznego wypadku, na drodze Kursko-Azowskiej, z pociągiem Cesarskim, i o cudownem ocaleniu Najjaśniejszych Państwa. Trzymając się źródeł najbardziej kompetentnych, za jakie uważać należy telegramy p. ministra Dworu, oraz wiadomości *Prawit. Wiestnika*, podajemy również, według źródeł tychże, następujące, ważniejsze szczegóły katastrofy.

„W dniu 29 Października — pisze *Prawit. Wiestnik* — pociąg Cesarski biegł z szybkością 64 wiorst na godzinę, pomiędzy stacyami Taranówka i Borki, po wysokim nasypie, rzuconym w głębokiej kotlinie. Rodzina Cesarska kończyła śniadanie z najbliższą świtą. Nagle, dało się uczuć straszne wstrząśnienie, następnie drugie, trzecie. Wagon stołowy zmienił się w masę pogiętą — nie do poznania. Cała część niższa, z kołami, została odrzucona daleko; ściany uległy rozbiciu na drobne kawałki, dach skręcony na stronę pokrył szczątki wagonu.

„Pod temi szczątkami, zdawało się, pogrzebaną została Najjaśniejsza Rodzina, — lecz Bóg nie dopuścił takiego nieszczęścia dla Rosyji: Najjaśniejszy Pan, Najjaśniejsza Pani i Najjaśniejsze Dzieci zostały uratowane prawdziwym cudem Najwyższego.

Nie obyło się atoli bez smutnych następstw przy rozbiciu innych wagonów, w których, między innymi, zabici zostali: sztabs-kapitan korpusu feldjegrów Brosz, pomocnik lekarski Czekuner, pisarz Szernberg i wielu jeszcze ze służby niższej. W ogóle, wszystkich zabitych naliczono 21, a raniionych, mniej lub więcej poważnie, 37. Z osób świty fligel-adjutant Szeremetjew ucierpiał wiele: ma on urwany palec i zgniecione piersi. Frejlina, hr. Marya Goliniszczewa-Kutuzowa, wskutek silnego stłuczenia nogi, ucierpiała również. P. minister Dworu, hr. Woroncowa-Daszkow, p. minister wojny Wannowski i generał adjutanci: Daniłowicz, Richter i Czerewin, wszyscy ponieśli znaczne uszkodzenia. Baron Szernwal, który spoczywał w swym przedziale, jest także silnie potłuczony.

Po obejrzeniu miejsca katastrofy, Najjaśniejszy Pan raczył osobiście zająć się uorganizowaniem pomocy dla rannych i, bez względu na stłuczenie nogi, chodził wszędzie, spuszczał się po pochyłości nasypu, po lepkiem błocie, wśród deszczu, i dodawał rannym otuchy Swemi serdecznemi słowami i łaskawym wzrokiem. Podobnie i Najjaśniejsza Pani, nie zwracając uwagi na zranioną rękę, starała się nieść pomoc osobom które ciężiej zostały ranione i Swoim przykładem zachęcała innych.

„Śledztwo — według słów telegramu p. ministra Dworu — wyjaśni dokładnie przyczynę rozbicia pociągu, lecz o jakimkolwiek czynie zbrodniczym, w tym wypadku, nie może być mowy.

Po opatrzeniu rannych, pociąg z Najjaśniejszem Państwem, wskutek zagrodzenia drogi, skierowanym został na linię jekaterynosławską do stacji Łozowej, gdzie też na Najwyższe żądanie, odprawione zostały przez duchowieństwo wiejskie, w obecności Najjaśniejszych Państwa, nabożeństwa za spokój zmarłych ofiar katastrofy, oraz modły dziękczynne za cudowne ocalenie od wielkiego niebezpieczeństwa.

Przyjęcie jakie, po katastrofie, spotkało Najjaśniejszych Państwa w Charkowie, opisane zostało w *Prawit. Wiest.* „Wszędzie lud — dodaje ten organ — oczekiwał na przybycie pociągu Cesarskiego, a podróż zmieniła się w pochód tryumfalny“, wśród którego Najjaśniejsi Państwo przybyli zdrowo i szczęśliwie do Gieczyna, poczem wydany został zaraz Manifest Najwyższy, ogłoszony w dziennikach.

W Warszawie, w dniu 1 b. m., odbyły się w świątyniach tutejszych uroczyste nabożeństwa dziękczynne, a wieczorem w teatrach, wykonany był przed widowiskiem hymn: „Boże Cesarza chroń“.

Następnego dnia, to jest 2 b. m., J. W. Generał-Gubernator Warszawski, Generał-Adjutant Hurko, tak w imieniu wojska, jakoteż w imieniu przedstawicieli duchowieństwa rzymsko-katolickiego, przedstawicieli ziemianstwa, i wielu wybitniejszych osobistości Warszawy i jej kupiectwa, przesłał telegramy z wyrażeniem uczuć radości z powodu cudownego ocalenia Najjaśniejszych Państwa i całej Najjaśniejszej Rodziny, na co Jego Cesarska Mość, w depezach z dnia 4 b. m., ogłoszonych również już w dziennikach — raczył Najmiłościwiej, za pośrednictwem J. W. Generał-Gubernatora Warszawskiego, przesłać Najwyższe Swoje podziękowanie.

PASORZYTY I PASORZYTY.

POGAWĘDKA PRZYRODNICZO-SPÓŁECZNA.

I.

Spróbujmy i my, choć raz jeden, podobać się panom „postępowcom“ warszawskim i spojrzymy na sprawy społeczne ze stanowiska — naturalistycznego.

A więc:

„Żyć kosztem drugich!“ — oto hasło wszystkich w ogóle pasorzytów; a są one w całej naturze: wśród roślin, zwierząt i — ludzi.

Mnóstwo żyjatek drobnych a pasorzytnych żeruje na ciałach istot organicznych, lokuje się w ich mózgu, nozdrzach, nawet w oczach i, przy pomocy mikroskopijnych ssawek pozbawia istoty te krwi, sprowadza osłabienie władz odnośnych organów, a niekiedy i śmierć samą. Jak tego rodzaju pasorzyty są szkodliwe, zwłaszcza gdy się dostaną do oczu ludzkich, wymowny tego przykład dają murzyni z Ga-

bon, których organ wzrokowy rujnowanym jest przez te le dwie dostrzegalne żyłki.

Oprócz pasorzytów żerujących na ciałach zwierzęcych i ludzkich, widzimy niemałą ilość pasorzytów roślinnych w obszernej państwie flory — i tak: kanianka (*Cuscuta*) niszczy lucernę i koniczynę; *Lyany* niszczą drzewa największe, nie mówiąc już o wielu pasorzytach innych, — mniej wybitnych, czyli mniej... zbrodniczych... (1)

Jeżeli *filoksera* rzuca się na wino, lub *doryfora* na ziemniaki, daje się poniekąd usprawiedliwić ten ich rozbój, gdyż zwierzęta, po większej części, żyją roślinami; — fauna żywi się florą. Ale ohydniejszem jest nierównie gdy gatunki do jednego królestwa przyrody należące, niszczą się bez walki; są bowiem między nimi tylko — oprawcy i ofiary.

Takich właśnie zbójów widzimy mnóstwo tak wśród zwierząt, jak i wśród roślin. Tutaj, wątle, nikczemne nieraz pasorzyty roślinne mordują — nie siłą ale podstępem — rośliny pożyteczne.

Najniebezpieczniejszym wszakże — u nas zwłaszcza — pasorzytem roślinnym jest kanianka, biała i różowa. Pasorzyt to mizerny, wątle, niewiele grubszy od nici, ale jaki podstępny, przebiegły i zdradziecki!

Kanianka, w pierwszej chwili po wychyleniu się na światło dzienne, wygląda niby żebrak roślinny, korna też jest i jakby błagająca rośliny inne o litość i przytułek. Zda się ona mówić żałośnie: Zlitujcie się nademną! — okażcie miłosierdzie nieszczęśliwej! O, bom ja bardzo nieszczęśliwa i upośledzona! Mam ja krewniaków znakomitych, jestem skoligaconą z takimi zacnymi i niewinnymi osobnikami jak: wino, bluszcz, powój, przeto nie zawiedziecie się i na mnie. I żebrze, i prosi, i kłamie, i pełza dopóty, dopóki molestowana roślina nie uwierzy w jej rzekome nieszczęście i nie udzieli podpory w niemocy. Z tą przecież chwilą zmienia się postać rzeczy: z biedzony i pokorny żebrak staje się bezczelnym tyranem i mordercą.

Przypatrzmy się mu z blizka. Podobnie jak rośliny inne, kanianka, w zwykłych warunkach, wyrasta z nasienia. Łodyga jej prosta na razie, poczyna z wolna pochylać się i pełzać po ziemi, a gdy napotka na swojej drodze lucernę, chmiel, janowiec, lub koniczynę, te ulubione swe ofiary, natychmiast się około której z nich oplata.

Dotąd postępowanie kianki zdaje się być bez zarzutu, w istocie jednak jest zupełnie inaczej; — inaczej bowiem okręca się ona niż powój, ten niby jej brat mleczny. Słaba w osamotnieniu, gdy uczepli się swemi splotami danej rośliny, nabiera siły olbrzymiej i ścisła swą dobrodziejkę, wpija się w nią, ssie, aż w końcu zdusi.

Jeżeli chcecie się przekonać, w jaki sposób ten nikczemny pasorzyt wywdzięcza się za gościnność i miłosierdzie, — spróbujcie oderwać go od rośliny na której obrał sobie siedlisko — spróbujcie, a zobaczycie coś okropnego, tragicznego! Każdy haczyk kianki uwidoczni wam ssawkę, a każda ssawka pozostawi w tkance roślinnej ranę głęboką — można

(1) Patrz „Obrazy z życia flory“ — opracowane według najnowszych źródeł — W. Niewiadomski — Warszawa 1880 r.

by rzec krwawą, bo z niej płynie sok, ta krew roślinna, wysysana chciwie przez... przybłądę.

Nie wierzycie własnym oczom, poszukujecie okoliczności łagodzących, — mniemacie jeszcze, pomimo jawnych dowodów czarnej niewdzięczności kianki, że ona bierze dla siebie pokarm nie z łona rośliny na której się rozgościła, lecz z ziemi, za pomocą własnych korzeni. Szukacie tedy tych korzeni, ale szukacie napróżno. Co się z nimi stało?

Oto korzeń kianki, po kilku tygodniach, niszczy, a pasorzytnica, zrzucając wtedy beczelnie maskę niewiniątka, pomnaża swe łodygi, okręca je naokoło rośliny, wysysa z niej sok, dusi ją w tym uścisku i dopiero na trupie swojej ofiary kwitnie i owocuje...

Kiance nie dorównywa w okrucieństwie i drapieżności żaden ze znanych u nas pasorzytów roślinnych; nie dorównywa jej — ani łuskiewnik (*Lathraea*), ani korzeniówka (*Monotropa*), ani Zaraza (*Orobancha*), ani omylniki (*Citineae*), ani raflezje i grzyby.

I otóż stajemy, my „zacofańcy“, na stanowisku „naturalistycznym“. Bo dziwna rzecz, jak szpetna procedura kianki, tego pasorzyta roślinnego, przypomina żywo procedurę pasorzytów innych — społecznych...

Oto żydek ubogi — ubogi naprawdę i pod wszystkimi względami: fizycznym, moralnym i materialnym. Cere ma przezroczytą i wybladłą, chudy jest i wiotki tak, iż zdaje się że uleciałby z wiatrem; w kieszeni posiada ledwie jakieś kilka rubli, lub nie posiada nic zgoła; cierpi on i głód, i niedostatek — cierpi, a cierpienie to odbija się w całej jego postaci.

Chodzi krokiem chwiejnym, patrzy bojaźliwie, w głosie jego drżącym dźwięczy nuta płacziwa i gdy mówi o sobie lub o swojej rodzinie, wzdycha co kilka wyrazów. Ubiór jego składa się z lichych łachmanów. Nie ma też pokorniejszej istoty pod słońcem: czy cię zna czy nie zna, ukloni się nisko i kłaniać się będzie przy każdym spotkaniu.

Istne wcielenie Nędzy i Pokory...

Takimi „biednymi żydkami“ roją się nasze miasteczka, a nawet i wie. Patrzysz na nich i litujesz się nad ich nędzą i upośledzeniem, dziwisz się z czego żyją i dlaczego są tacy — mizerni?...

Wszak znacie takich „biednych żydków“? Są to właśnie owe „nie grubsze od nici“ łodyżki kianki społecznej, są to owe „pokorne“, bo nie posiadające jeszcze „podpory“, pasorzyty ludzkie, które dopiero co wykluły się ze swego nasienia. Ale poczekajcie czas jakiś, niechno taki „biedak“ „dorobi“ się jakiegoś fundusiku i weźmie warendę od szlachcica pacht albo propinację, — czyli niech ta kanianka społeczna znajdzie sobie „podporę“, a wnet uwydatni się lepiej rysy jej charakteru...

Dostał się „biedak“ do karczmy albo do obory i jest mu dobrze; to przecież nie zadawała go bynajmniej; on „potrzebuje“ dostać się i do... dworu. Po co? — żeby zostać „obywatel“ i pozyskać w przyszłości tytuł „podskarbiego narodu“... A czemu by nie miał się dostać? Wszak on jest tak mało wymagający... taki usłużny... a i „pracowity“ przy-

— Dajże pan pokój, nie będziesz się przecież chciał ze mną strzelać o Miłęcką! Byłaby to gruba śmieszność. Ale rozumiem twoją rycerskość, wierzyłem bowiem w twoim wieku tak samo. Doświadczenie wyleczy cię i z tego złudzenia panie Orlikowski, a tymczasem bywaj mi zdrów.

Tego samego dnia wieczorem udał się Bolesław do Miłęckiej. Pokojówka oświadczyła mu, że pani nie ma w domu, choć wesołe śmiechy dolatywały z buduaru aż do przedpokoju.

Po raz wtóry nie naraził się Bolesław na niegrzeczność Adeli. Wróciwszy do siebie, zabrał się do pracy i służył jej już odtąd wiernie, bez żadnej przerwy. Późny świt dni zimowych zastawał go bardzo często przy biurku, z piórem w ręku, które rozgrzewało się w jego dłoni, jak miecz, dzwoniący o zbrojną pierś wojowników.

Bywało nieraz, że osuwał się nad ranem na fotel znudzony, wycieńczony, i wówczas uczuwał w głowie kipiący war, a w nogach lód. Lekarze mówili mu, że to skutek nieprawidłowego obiegu krwi, spowodowany ciągłym siedzeniem i nadmiernym wysiłkiem władz umysłowych. Radzili mu, aby się oszczędzał, ale on zbywał uwagi życzliwych obojętnym uśmiechem, bo należał do tych ludzi, którzy nie umieją robić nic połowicznie.

„NARWAŃCY“

POWIEŚĆ

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

(Dokończenie.)

— Nie inaczej. Nie wiem, co między wami zaszło, ale musiałeś jej pan dać powód do niezadowolenia.

— Jeżeli uczciwość jest idiotyzmem, to nie przestanę być nigdy skończonym idiotą.

— Ale bo — odrzekł Miłski — z temi stworzonkami trzeba umieć postępować. Niby to sfinksy, a właściwie tylko kapryśne istoty bez wyrobionego, wyrazistego charakteru. Zwłaszcza aktorki przedstawiają osobny rodzaj niewieści. W tych zimnych, prawie zawsze każde słowo obliczających, osóbkach zakipi czasem krew. Mądry, kto pochwyli w tej chwili sposobność... Domyślam się, że musiało zajść między wami coś podobnego, bo gdy kobieta nazwie kogoś idiotą...

— Pani! — zawołał Bolesław, przerywając wykład Miłskiego. — Nie upoważniłem pana do żadnych domysłów.

tem! Wszak on dniem i nocą „pracuje“ nad tem aby stać się potrzebny m dziedzicowi; gdy tego dokaże, „pracuje“ znowu, aby stać się niezbednym; a gdy i ta jego „praca“ zostanie uwieńczoną pomyslnym dlań skutkiem, wtedy...

Wtedy — spróbuje „oderwać“ żyda-kaniankę od społecznej rośliny — szlachcica, a przedstawi się oczom waszym widok na który wstrząśnięcie się i ciałem i duszą... Ujrzenie mnóstwo „haczyków“ — którym na imiona: podstęp, obluda, oszustwo — a każdy „haczyk“ uwidoczni wam „ssawkę“, zapuszczoną głęboko w mienie ofiary, — pod postacią weksłów, kwitów, rewersów, kontraktów i t. p. „obligów handlowych“; każda zaś „ssawka“ odłoni ranę, jątrzącą się bólem... ruiny majątkowej gościnnej rośliny — „goima“.

I znowu — jak przy obserwacji kianiarki roślinnej — nie będziecie pewni czy was wzrok nie myli; zaczniecie poszukiwać „okoliczności łagodzących“ winę żyda, a zaostrzających winę „goima“. Nie będziecie dawali wiary aby żyd — pachciarz lub arendarz — mógł zdławić swem szczupłem mieniem, tak wielkie stosunkowo mienie szlachcica, — aby mógł tak dalece „dorobić się“ na „usługach“ u dworu. Będzie się wam zdawało że żyd-kanianka, tak samo jak inne rośliny społeczne, czerpie pokarm z ziemi przy pomocy „korzeni“ — pracy produkcyjnej. Zaczniecie szukać tych „korzeni“ w obozrze i w karczmie, ale nie znajdziecie... Nie znajdziecie, bo dla żyda-kianiarki „praca“ jest tylko pretekstem osłaniającym cel rzeczywisty — wyzysk i „życie kosztem goimów“.

Do osiągnięcia zaś tego celu zdąży on wszelkimi, możliwymi i niemożliwymi — drogami. „Pracą“ jego jest zapuszczanie „ssawek“ i wysysanie przy ich pomocy cudzych „soków żywotnych“. I dopiero wtedy żyd kanianka „kwitnie“ i... „owocuje“, kiedy wyssie i zdusi materyalnie odpowiednią ilość ofiar.

A i tym żydom „kwitnącym“ i „owocującym“ wartoby — w zestawieniu z innymi znowu pasorzytami roślinnymi — przypatrzeć się zblizka. Uczynimy też to — w numerze następnym.

(Dokończenie nastąpi.)

Listy z Galicyi.

XXVIII.

Wielkie zmiany nastąpiły w Galicyi. W chwili gdy się tego najmniej spodziewano, co najlepiej ilustruje okoliczność że sam marszałek krajowy ani przeczuwał, na co się zanoszą, przyszła z Wiednia wiadomość telegraficzna, że minister dla Galicyi, dr. Floryan Ziemiałkowski ustąpił, a na jego miejsce został powołany namiestnik Galicyi pan Filip Zaleski.

Nasi domorośli politycy długo sobie głowy nad tem łamali co właściwie było przyczyną przesilenia ministeryal-

Wziął na siebie najważniejszą część zadania „Brzasku“. Do niego należała cała polemika z zasadami pozytywistów i artykuły wstępne, programowe, które pisał wspólnie z Dramińskim i Sforowskim. Czasami wyręczał młodych starsi panowie, głównie Rodowski i Słupski.

Ulubionym działem Sforowskiego było owo drobne, ciągle ujadanie, owa bezustanna szermierka, która stała się konieczną z chwilą, kiedy nowy tygodnik stał się celem pocisków, rzucanych z obozu postępowego.

„Wstecznikami“, „obskurantami“ nazywano teraz stare redaktorów „Brzasku“. Młodowski zamilkł wprawdzie po nauce, którą odebrał, na czas pewien, ale po kilku tygodniach odezwał się ponownie. Interes wydawniczy i przyzwyczajenia całego życia przemogły w nim obawę wobec „nieprzyjemnych awanturników“. On dogadzał swoim prenumeratom, a publiczność lubi skandale i ploteczki.

Ostrożniej, sprytniej kąsał Młodowski „wsteczników“ z „Brzasku“, usiłując nie dotykać ich osobistości, a mimo to umiał działalność ich podać w podejrzenie pewnej części bezkrytycznych czytelników. Czasami zapomniał się, a wtedy wracał do dawnej metody ordynaryjnych kłamstw, lecz zdarzało się to coraz rzadziej.

Za „Gwiazdą“ szły inne pisma „postępowe“ i „liberal-

no namiestniczego, tymczasem fakt, że równocześnie w Wiedniu usunięto ministra sprawiedliwości Prażaka, i zastąpiono go hr. Schoenbornem, powinien im być powiedzieć, jakie właściwie wiatry wieją. W ostatnim dwudziestolecu Austria była niezmiernie liberalną, nawet bezwyznaniową, ale odkąd jej monarcha przekonał się że polityka tego rodzaju może go zaprowadzić za daleko, zaczął coraz bardziej nakłaniać się do stronnictwa zachowawczego, bo tylko ono pragnie Austrii z Habsburgami na czele. Liberały przeciwnie, a między tymi, jak wiadomo, żydzi rej wiodą, wzdychają od niejakiego czasu do zjednoczonej Germanii, i ci sprzedaliby dzisiejszą Austrię za miskę soczewicy. Od lat pięciu gabinet Taaffego robił się z każdym rokiem bardziej konserwatywnym, a po wprowadzeniu Gautscha i markiza Baczuheima okazało się, że zasiada w nim jeszcze tylko dwóch liberałów starej daty: Ziemiałkowski i Prażak. Ich upadek był zatem tylko kwestyą czasu. Ziemiałkowskiemu zaszkodziło także i to, że od lat kilku był mu przeciwny minister skarbu, Dunajewski. Dopóki ten wraz z finansami austriackimi, wisiał, że się tak wyrażę, w powietrzu, dopóty Ziemiałkowski stał jeszcze na silnych nogach, ale odkąd minister skarbu, przez wprowadzenie nowych reform ugruntował swoją pozycję, kolega jego bez teki znalazł się w położeniu wcale nieprzyjemnem.

Już podczas rozpraw nad ustawą spirytusową, które, jak wiadomo, toczyły się na początku r. b różnica zdań między Ziemiałkowskim a Dunajewskim dość wyraźnie na jaw wystąpiła, pierwszy bowiem usiłował bronić w łonie gabinetu interesów Galicyi, gdy przeciwnie drugi stał twardo jedynie przy interesie monarchii; ostatni zaś akt dramatu ministeryalnego rozegrał się podczas sesji sejmowej, która niedawno została zamkniętą. Ziemiałkowski pragnąc wielkiem *coup de main* odzyskać w kraju popularność i tym sposobem wzmocnić w Wiedniu swoje stanowisko, rzucił myśl wykupna propinacji w Galicyi, poczem rząd wypracował projekt do ustawy, mającej tę rzecz uregulować. Rzeczony projekt został przedłożony Sejmowi, ale ten, bliżej mu się przypatrzywszy, orzekł, że musi go złożyć *ad acta*, ponieważ nie jest dla kraju korzystny. Ziemiałkowski przybył jeszcze do Lwowa by dziecko swoje ratować, lecz gdy starania jego pozostały bez skutku, uznał za stosowne powrócić do Wiednia i niezwłocznie podać się do dymisji, którą też przyjął.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w całym przesileniu wielką rolę odegrało także stronnictwo krakowskie, a do tego przypuszczenia uprawnia głównie ta okoliczność, że miejsce Zaleskiego zajął hr. Kazimierz Badeni, człowiek zdolny i energiczny, a całą duszą temuż stronnictwu oddany. Wszyscy wiedzą jak ważną jest posada namiestnika, dzierżącego w ręku całą władzę kraju. Kto zatem na tem stanowisku się znajduje, może swemu stronnictwu niezmiernie oddać usługi. Okaże się to już za kilka miesięcy przy wyborach do Sejmu. Jeżeli nowy namiestnik weźmie się energicznie do dzieła, a że to nastąpi, o tem nikt nie wątpi, wtenczas stronnictwo konserwatywne wzmoże się w Sejmie niezmiernie, opozycja zaś zejdzie do rozmiarów mikroskopijnych. Ci,

Organy bankierów, przemysłowców i żydów przyłączyły się do ogólnego chóru, tylko „starzy konserwatyści“ w rodzaju Krokodilenfeldów, Korngelbów i Fajgenblattów trzymali się na uboczu.

Osaczeni zewsząd, obryzgiwani błotem, obelgą, prażeni pociskami zatrutemi, jadem złej wiary, nie bronili się redaktorowie „Brzasku“, lecz szli naprzód, nie oglądając się ani na lewo ani na prawo.

Z początku, gniewała ich ta nieszlachetna walka, wkrótce jednak, „otrząskawszy się“ z metodą przeciwników, nie zwracali uwagi na ich wybryki.

A szli w porządku, w zwartym szeregu, dopełniając się wzajemnie. Czego jeden nie potrafił, to zrobił drugi. Do pierwotnego składu redakcyi przybyło już w pierwszym roku kilka świeżych sił pisarskich, tworząc z dawniejszemi zastęp publicystyczny, jednym ożywiony duchem, do jednego dążący celu.

W redakcyi „Brzasku“ panował stosunek koleżeński. Nie było nad współpracownikami wydawcy z władzą dyktatorską, jak w „Gwiazdzie“, w „Wiązance“, w „Zwiastunie“ i w innych czasopismach. Redaktorowie „Brzasku“ byli zarazem jego współwłaścicielami, każdy bowiem wziął tyle udziałów, na ile go stać było. Firmowy redaktor, Borowski

którzy ze stronnictwem krakowskim bój toczą, są tą nominacją przerażeni; przeciwnie ogół, nie biorący żywego udziału w walkach „partyjnych“, jest wcale zadowolony. Wszyscy bowiem wiedzą, że po dwóch figurantach, a takimi byli niewątpliwie dwaj ostatni namiestnicy, Alfred Potocki i Filip Zaleski, był czas najwyższy aby przyszedł znów do steru człowiek zdolny i energiczny, który będzie musiał rozpocząć swoje działanie od zaprowadzenia ładu w rozprzężonej dziś administracji.

Od śmierci hr. Agenora Gołuchowskiego, który jak wiadomo, był znakomitym administratorem, hr. Kazimierz Badeni będzie pierwszym namiestnikiem rozumiejącym się na rzeczy, przytem mającym własne zdanie i silną wolę.

Opozycja, błakająca się dziś bez naczelnika, ludzi się nadzieją, że Ziemiałkowski, zdraśnięty w miłości własnej, osiadłszy teraz w kraju i stanie na jej czele. Próżne marzenia! Mężowie stanu, mający lat przeszło 70, nie zrywają się tak łatwo do działania, a zresztą trzeba i to wziąć na uwagę, że w ostatnim dziesięcioleciu, postępowy niegdyś program Ziemiałkowskiego, wypełził niezmiernie i zrobił się prawie nijakim. Ktokolwiek nań patrzył, widział, że nie równie więcej szło mu o pozycję w gabinecie, niż o program. Robił też niemcom coraz większe ustępstwa, póki go nie porzeczali własni jego rodacy. Zresztą człowiek, który nie wstydził się prosić cesarza o wzgardzony u nas tytuł barona, (w Austrii dostają go tylko żydzi spanoszeni), będzie wołał zostać w Wiedniu i w tamtejszych salonach świecić siedmiopakową koroną, niż całować się we Lwowie z panem Niemczynowskim. Zdaje mi się, że będę dobrym prorokiem, jeżeli powiem, że Ziemiałkowski, jako statysta, został już na zawsze pogrzebiony.

Sprawa wykupna propinacji, złożona przez Sejm *ad acta*, jest tylko odroczone, ale nie pogrzebiona. Po nowym roku przyjdzie ona znów pod dyskusję, wszelako w innej niż dotąd formie. Rząd przekonawszy się, że pierwszy jego projekt pod żadnym warunkiem nie uzyska większości w Sejmie, postanowił na podstawie rozmaitych wniosków poselskich wypracować projekt całkiem nowy, i z nim stanie drugi raz przed wybranymi kraju. I o ile z rozmaitych oznak wnosić można, większość oświadczy się za wykupnem propinacji. W łonie Sejmu zdania są wprawdzie podzielone, wszelako w chwili ostatniej odniesie zwycięstwo stronnictwo krakowskie, które głośno mówi o potrzebie wykupna.

Drugi odłam stronnictwa zachowawczego, tak zwani podolacy, o zniesieniu propinacji nie chcą nawet słyszeć. Ich przywódca, sędziwy poseł Grocholski, wygłosił nawet mowę w tym duchu. Najlepiej jednak udało się hr. Lassockiemu, który należy do klubu środka, do tak zwanych Ateńczyków, tem dotąd wstawianych, że dużo myślą, a nic nie robią. Są to niby zachowawcy, a niby postępowcy, jakies *mixtum compositum* na wzór tego, które swego czasu pan Jeske-Choiński chciał utworzyć w Warszawie pod nazwą „młodych konserwatystów“. Otóż ten hr. Lassocki wstąpiwszy na trybunę oświadczył patetycznie, że szlachta nie da sobie zabrać karczmy, „bo karczma jest świętą“ (!!)

pełnił tylko urząd kwatermistrza, a wywiązywał się z tego zadania ku ogólnemu zadowoleniu.

Pracowity i systematyczny, nadzorował Alfred administrację, pilnował korekty i rewizji, rozważny i chłodny, chociaż sam nic nie pisał, służył kolegom niejednokrotnie dobrą radą, powstrzymując ich w zbyt rączym pochodzie, przyjazny i taktowny, umiał łagodzić spory, które wybuchały nieraz, gdy potracano na sesjach o sprawy zasadnicze.

Główni bowiem redaktorowie „Brzasku“ nie odznaczali się wcale spokojnym temperamentem. Zarówno Bolesława, jak Dramińskiego i Sforowskiego, a nawet Rodowskiego unosił przedmiot, rozgrzewało słowo, a wtedy przychodziło dość często do gorących utarczek, zwłaszcza, gdy starsi panowie nawoływali do umiarkowania. Wszelkie jednak nieporozumienia kończyły się zawsze zgodnie, dzięki wspólnej idei, która przenikała założycieli „Brzasku“ i ogarniała ich jednym ogniwem.

I szli obok siebie karnie, w szeregu, ustępując sobie, szli z wiarą w czystość i skuteczność przekonań, które nieśli społeczeństwu. Atakowali przeciwników równie namiętnie, jak niegdyś „młodzi pozytywiści“ tak zwaną starą prasę, ale żaden z nich nie splamił się kłamstwem publicznym.

K O N I E C .

Łatwo sobie wyobrazić, jak przykre wrażenie zrobił ten *lapsus linguae* nawet między osobistymi przyjaciółmi hr. bigo. W każdym razie klub ateńczyków nie bardzo się spisał wysyłając na trybunę mówcę tak nieszczęśliwego.

Dr. Lewakowski, który w połowie bieżącego miesiąca, ubiegał się ponownie o mandat do Rady Państwa z miasta Lwowa, został nareszcie wybrany. Na jego szczęście, na dwa dni przed głosowaniem, nastąpiły zmiany w gabinecie i powołanie Zaleskiego do Wiednia, skutkiem czego we Lwowie taki haos panował, że wszystko się kotłowało. Namiestnictwo pozbawione chwilowo zwierzchnika, nie zajęło się energicznie agitacją na rzecz profesora techniki Zajączkowskiego, którego postawiono contra Lewakowskiemu, prasa zaś opozycyjna tak wielką rozwinęła sprężystość, że wobec niej nie się nie mogło ostać.

W dniu wyborów najzabawniej wyglądali żydzi ci bowiem nie wiedzieli, z kim mają trzymać. Widziałem na placu Maryackim, pewnego dyrektora banku (do ludzi z tej sfery żydzi mają najwięcej zaufania) otoczonego przez tłum chałatowców, którzy w niebogłoso wrzeszcząc, prosili go, by im powiedział, na kogo właściwie mają głosować. Ponieważ pan dyrektor wyjątkowo należał do opozycji, przeto długo się nie namysławiając, rzekł: „Zaleski nic wam już nie zrobi, bo go do Wiednia powołali, a jak szczęście Lewakowskiemu posłuży, to kto wie, czy on namiestnikiem nie zostanie“. Sprytnie plemię Izraela zrozumiało to przemówienie, to też wszyscy z obecnych głosowali tego dnia za Lewakowskim.

Lwów przeistoczył się do niepoznania. Brudna i i cuchnąca Pełtew, która przez jego środek płynęła, znikła zupełnie pod sklepieniem betonowem, na którym teraz będą rosły najpiękniejsze róże i krzewy. W ten sposób miasto otrzymało ulicę prawie tak długą jak Krakowskie Przedmieście w Warszawie i nie mniej od niego szeroką, a mającą jeszcze ten wdzięk, że jej środkiem będzie biegł najpiękniejszy ogród. Dwa ważne gmachy: uniwersytet i teatr zostały z nią połączone. Wkrótce stanie przy niej także pałac Kasy oszczędności. Jeżeli tak dalej pójdzie, ośmieszony do niedawna Lwów, stanie się jednym z piękniejszych miast europejskich.

Rolarz.

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

Tom II.

Prześladowanie żydowskie.

III.
Żydzi.

(Dalszy ciąg.)

Ta nienawiść do Boga przechodzi w monomanię. W lutym 1885 widzimy znów pojawiającego się Kamila Dreyfusa, który na radzie municypalnej wszczyna śmieszna rozprawę. Chce on wykluczyć ze szkoły dzieła poety, dla tego że w nich znajduje się imię Boga wymienione, jest w nich mowa o modlitwie i napotyka się wiersze tego rodzaju:

„Dajcie, bogacze, bo siostrą modlitwy
„Jałmużna: dajcie, by Bóg, ojciec rodzin...“

I rada municypalna przyklaskuje temu żydowi i nakazuje surową ankietę ..

Żyd Lyon Allemand, w marcu 1885 zadenuncyował radzie municypalnej profesora z Chaptalu, Pelissiera, cieszącego się powszechnym szacunkiem. Cóż za zbrodnię popełnił ten uczone? Nie zarzucono mu pogwałcenia neutralności szkoły, wpajania swoich pojęć w uczniów. Poprostu korzystał on ze swego prawa osobistego, ze swobody myślenia, i pod tytułem „Nauki o starożytności chrześcijańskiej“ napisał i wydał książkę pełną znaczących nauk i wymownych poglądów, książkę która od Akademii otrzymała nagrodę Monthyona. W książce tej autor pozwolił sobie stwierdzić umoralniający i płodny wpływ chrystyanizmu. Zgniewało to zuchwałstwo Lyona Allemanda, i biedny profesor otrzymał nagle dymisyę po 25 latach służby.

Ollendorf, to także żyd niemiecki, którego rodzina pochodzi z Rawicza (w W. Ks. Poznaniem), a który będąc sekretarzem Ferrego, podjudzał przeciw Chrystusowi tego człowieka, który przecie podjudzania nie potrzebuje.

Quilly, pseudo uczone, *anima damnata* Pawła Berta, który odrobiny swojej wiedzy teologicznej używa na do-

ensferry?—i otrzymuje odpowiedź że za 10 szyllingów. Wydaje mi się to nieco zawiele, ale jest Niedziela, *cabów*, na ulicach nigdzie nie widzę, więc zgadzam się na cenę. W chwili wszakże kiedy stawiam nogę na stopniu, podchodzi do mnie jakiś porządnie ubrany jegomość i kłaniając się z lekka podaje zadrukowaną kartę papieru. Oddaje ukłon za ukłon. biorę papier do ręki, a za chwilę moja jednokonka toczy się szybko po gładkim jak posadzka bruku ulicy książąt.

Dla oryginalności jedynie, niech mi wolno będzie przetłumaczyć na język polski to, co po angielsku wyczytałem na tej karcie:

Oto dosłowna treść:

„Pamiętaj obserwować poranne nabożeństwa w dniu Niedzielnym.

„Dla czego?

„1) Cały ten dzień jest poświęconym, i pobożnie spędzonym być winien na publicznych, domowych i sekretnych ćwiczeniach ku czci Pana.

„2) Nabożeństwo poranne jest zazwyczaj i naturalnie, najczystsze, najlepsze, najprędzej prowadzące do duchowego podniesienia i urobienia człowieka, do pocieszenia go w życiu.

„3) Prawdziwi chrześcijanie zazwyczaj (a zapewne gdy ku temu mają sposobność wszędzie) zbierają się razem rano w dniu Pańskim. Głoszą oni wtedy te oto słowa:”

„Bądź pozdrowiony, o dniu odpoczynku, który Bóg powołuje do życia.”

„Głowski memu będziesz przysłuchiwał się rano.”

„Wcześniej szukać ciebie będę.”

„I iść będę w radosnym nastroju

„Ku poznaniu twojej woli Panie.”

„4) Zaniedbujący służbę Pana w Niedzielę rano, w różny sposób zabijają swój czas: ci oddając się zwykłym swoim zajęciom, inni kupując, sprzedając i robiąc rachunki, inni dalej nie robiąc, paląc, pijąc, gawędząc, pisząc listy lub czytając lekkie książki i gazety i wreszcie inni podróżując po łądze i po wodzie, lub kucharząc i przygotowując niedzielny obiad.

„5) Tymczasem złe wypływające z profanowania porannego Nabożeństwa w Niedzielę jest wielkim i rozlicznym. Nie tylko dzień ten jest sponiewieranym, służba Pańska zbaczyszczona, ale zły przykład daje się tym sposobem drugim, straszny wpływ wywiera się na nich. I napewno, niczego dobrego nie można się już spodziewać po reszcie dnia, którego początek zeszedł tak bezprzykładnie. Dla tego też przyjaciele i sąsiadzi, rozważcie to sobie głęboko, żałujcie gorąco przeszłości, i jeżeli Bóg wam pozwoli jeszcze dożyć następnego dnia świątecznego, idźcie do przybytku Przedwiecznego, gdzie odbywa się służba Pańska przysłuchując się tej służbie z pokorą, stosujcie się do nauk słyszanych w kościele, i życie w myśl tych nauk. A wtedy dobrze będzie się wam działo za życia, lepiej w chwili śmierci, a najlepiej na tamtym świecie.”

Oto dosłowna treść kartki, która znajdowała się w mojem ręku. Mijałem już gmach hotelu „Balmoral” i dojeżdżałem do pałacu „Royal Institution”, z kąd droga zwracała się na prawo, na głos więc moralizatorski musiałem pozostać obojętnym. Ale głos ten zrobił swoje jednakże: przypomniał mi obowiązek, który tak wielu, zwłaszcza też w naszym kraju, zaniedbuje, i niezawodnie powstrzymałby mnie w przyszłości od wyjeżdżania o tej porze w dniu świątecznym po za miasto, gdybym naturalnie... nie był cudzoziemcem w tym kraju, nie podróżował po nim dla nauki i nie pragnął w jak najkrótszym czasie jak najwięcej zobaczyć i skorzystać.

Ale też Anglicy, rozrzucając po mieście takie kartki, nie na cudzoziemców liczą; wiedzą oni w jaki sposób cudzoziemcy w Europie Niedzielę przepędzają, chodzi im więc tylko o upomnienie swoich, zwłaszcza też tych z pomiędzy nich, którzy często, jak zwierzęta w lesie, bez kierunku idą po drogach życia. Tych właśnie umoralniają takie odezwy, tym przypominają słowa: „święt święto Pańskie”, a w połączeniu z innymi środkami religijnymi i prywatnych Towarzystw, powstrzymują ich nad głębiną przepaści.

Rozmyślałem nad tem i widzę, że w dali ukazuje mi się most na *Forthie*. Jest to kres mojej podróży. Chowam do kieszeni kartkę, ale przedtem rzucam na nią ostatnie spojrzenie. Na czele jej czytam słowa: „*fifty-fourth milion*”, pięćdziesiąty czwarty milion i wyraz „*Stirling*”. Co to znaczy? Oto, że na kilkomiłowym trakcie między *Stirlingiem* a *Edynburgiem*, Towarzystwa religijne rozrzuciły już pięćdziesiąt cztery miliony takich kartek. Pięćdziesiąt cztery miliony!—wierzyć się temu nie chce, a jednakże tak jest. Z tych pięćdziesięciu czterech milionów, niechby poszło na marne — myślę sobie — pięćdziesiąt, — zawsze cztery musiały zrobić swoje. Zwarty ich szereg kołatał przecież ciągle do serc zadowolonych, czyż podobna więc aby się nie dostał do ich wnętrza? To też się dostał, i dziś, jeżeli pusto jest i głucho w takim *Edynburgu* w Niedzielę rano, a pełno jedynie w kościołach, jeżeli po ulicach miasta i po trakcie prowadzącym do *Queensferry*, jeżdżą tacy tylko jak ja turyści-cudzoziemcy, — to zasługa tych pobożnych Zgromadzeń, które oplótnęły nitką pajęczą kraj cały, cicho i głośno, publicznie i pry-

watnie, — i takimi właśnie kartkami, wołają do każdego z osobna i do wszystkich razem „pamiętaj abyś dzień święty święcił”.

Ale ja pojechałem do *Queensferry*. Zobaczyłem budujący się na *Forthie* most, przeszedłem się po ulicach modlącego się jak *Edynburg* miasteczka i nad wieczorem powróciłem do stolicy. Z kolei więc rzeczy opisać muszę jak *Edynburg* wygląda w Niedzielę gdy zmrok zapadnie.

Wysiadam na ulicy „*High-street*”, niedaleko gmachu Parlamentu. *Hausom-cab*, jakby zawstydzony tem że jeździł ze mną, powoli oddala się w stronę nowego miasta. Jestem sam na ulicy i powoli również podążam w stronę „*Canongate*” i „*Holy-rood*”. Na ulicy jakby wymiół. Nigdzie konia, nigdzie człowieka, w oknach tylko spostrzegam twarze niewiesticie, schylone nad czytaniem Biblii. Nagle dolatuje mnie z boku głos. Oglądam się i widzę gromadę ludzi, w środku której jakiś mężczyzna średnich lat żywo rozprawia, gestykulując energicznie rękami.

(Dokończenie nastąpi).

NA POSTERUNKU.

Nowa nuta organów „poświęconych specjalnie interesom ziemiaństwa”. — Dłaczego z niej się cieszę — i kto dotąd korzystał ze szlochania nad rzekomą „ruiną” posiadłości ziemskiej. — Słowo o pewnej kaniance nie-roślinnej. — Wszystko jest jak najpiękniej na świeżo otwartej wystawie przemysłowej. — Czyli, wszystko jest tak, jak już nieraz bywało. — Pocięcha dla mniej szczęśliwych. — Inowacya w *Resursie Obywatelskiej*, czyli żony, córki i matki zabawiające się w „winta” albo „bakara”. — Matki w *Resursie* a dzieci w *Zwierzyńcu*, albo *tatersalu*. — Szmer z powodu ostatniego wypadku w *Ogrodzie zoologicznym*. — Moja obrona zarządu tej „instytucyi”. — O czem zarząd *Zwierzyńca* nie myśli, a o czem myśli. — Ewentualna wspaniałomyślność zarządu, czyli bezpłatny udział sierot w *zwierzyńcowych „rozrywkach*”. — Będzie dobrze!

Nareszcie!... Nareszcie organa prasy warszawskiej, „poświęcone specjalnie interesom ziemiańskim”, poczęły — z innej nuty. Zamiast żalobnego, śpiewają hymn pocieszenia, nadziei. Nie dowodzą już, że „własność większa, wobec trudnych warunków, ostać się nie może”, ale przeciwnie, zapewniają najuroczyściej, że „rolnictwo jest jeszcze warsztatem dobrym, wdzięcznym, popłatnym” — i że „w każdym ych warunkach prowadzić można gospodarstwo — z korzyścią”.

Wyznają iż zmiana taka, w „poglądach” szanownych organów, „poświęconych specjalnie interesom ziemiaństwa” cieszy mnie podwójnie. Najpierw dlatego, że „*Rola*” była pierwszą (patrz *Listy Hreczkosieja*, „*Dyalogi wiejskie*”, oraz inne jeszcze artykuły), która na tę zmianę dzwoniła; że ona pierwsza protestowała przeciwko niemięzkemu szlochaniu nad rzekomą „ruiną” posiadłości ziemskiej; a powtóre, że szlochanie to, więcej może niż wszystko inne, szkodziło „interesom ziemiaństwa”. Tak — s z k o d z i ło! Od lat 12 stu, jeżeli dobrze pamiętam, rozlega się ów jęk „w sprawie upadającej posiadłości ziemskiej” — i, jak twierdzą ludzie dobrze rzeczy świadomi, wywarł on jeden tylko, albo... raczej dwa skutki: 1-o. Wiele „upadających posiadłości” upadło rzeczywiście, gdy ich posiadaczom, przerażonym alarmem dziennikarskim, opadły ręce, — i 2-o: „kredyt rolniczy”, będąc zawsze „trudnym”, stał się jeszcze „trudniejszym”, to jest bardziej lichwiarskim. Boć ci nasi jedyni dostarczyciele mamony, musieliby chyba nie mieć „delikatnego rozumu”, gdyby do żądającego kredytu szlachcica nie przemawiali tonem takiej, mniej więcej, perswazyi: Niech jeno pan dobrodziej zobaczy, co to stół w gazety — i to nie w żadne gazety *nasze*, ale w *echt-szlacheckie* — gazety! Tu stoi, co się wszystkim teraz u szlachty wali na łeb na szyję, co już wszystko upadło i przepadło, i co się już n a s z e s z l a c h t e nie dźwignie, i co una już sobie nic nie poradzi, i co wszystkie jej majątki pójdą na licytacyę, i co Towarzystwo będzie już wszystkich obywateli t r a d o w a ło, i co una, ta szlachta, całkiem już s k a p c o n i a ła! Nu, i jak my mamy dawać pieniądze — kiedy my już teraz nie mamy *żadne ewikycje*? Zresztą, my możemy i dać, ale teraz — jest dla nas bardzo wielkie *ryzyko* — to i procent musi być większy. Przecież to jest prawo, — takie *uczone* prawo!

I podnosili dobroczyńcy-wierzyciele procent, i stawał się kredyt „trudnym”, coraz „trudniejszym”, i pędziły w ten sposób organa „poświęcone interesom ziemiańskim”, bezwiednie czy... bezmyślnie, wodę na kółka... niezemiańskie.

Przeto niechże im, tym szacownym „organom interesów ziemiaństwa” będą dzisiaj dzięki za — opamiętanie. Boć jeżeli ten ich śpiew nowy, na weselszą nutę, nie pomoże

zbyt wiele, to przynajmniej szkodzić nie będzie. Nie pomyśl o śpiewu gazeciarskim, albowiem, jak o tem nieraz zapewniał już *Hreczkosiej* z „Roli“ swoich braci po pługu — „siła i możność utrzymania się przy ojczywym zagonie spoczywa nie w rozprawach bodajby nawet „konkursowych“, ale w samej szlachcie“. Kto siłą wielkiej woli, wielkiej pracy i wielkiego... umiarkowania w wydatkach, zajmie pozycję obronną wobec, przystrojonej w krymkę i chałat, tej... kanianki społecznej — o której ciekawą i pouczającą pogawędkę znajdziecie w dzisiejszym artykule wstępnym; kto jej, tej kaniance, nie pozwoli szukać sobie „podpory“ w hipotece majątku. Ten może być pewnym, że najtrudniejsze „warunki“ zgnieść go nie zdołają. Ale ktokolwiek wda się w przyjaźń z kanianką chałatową, ten niech liczy również napewno, że o ile ona rozrastać się będzie, o tyle on schnąć i niknąć musi do... chwili, w której też kanianka „zakwitnie“ i „zaowocuje“ na jego „trupie“ czyli właściwie i przedewszystkiem na trupie jego — gospodarstwa...

Czy „zakwitnie“ naprawdę i „zaowocuje“ nasz przemysł w skutek urządzanych corocznie wystaw przemysłowych, — nie wiem i sądzić o tem nie chcę, albowiem rzecz to więcej „znanych“ odemnie „kompetentów“. Nie wiem również ażali w salach muzealnych, znajdują się obecnie pewne najciekawsze wytwory przemysłu starozakonnego jak np. znane „koniaki kuracyjne“ pewnego „składu win“, pewne wydawnictwa pewnych „znanych firm wydawniczych“ i t. p. Wiem tylko, że wystawa otwarta, że według zapewnienia *Kuryerów* przedstawia się „świetnie“ i „wspaniale“, że dalej, w sali głównej, odbywają się codziennie koncerty „amatorów“, ściągając „tłumy publiczności“, czyli że wszystko jest jak najpiękniej to jest tak, jak już nieraz bywało. Tak też zapewne, jak bywało już nieraz, będzie i z „nagrodami“. Będą mniej i więcej... szczęśliwi. Gdyby jednakże i w tym razie to jest w przysądzeniu „nagród“, zasada „asymilacyjna“ wzięła górę nad zasadą „słuszności“, to znaczy: gdyby do kategorii więcej szczęśliwych należeli żydzi albo niemcy, a do... mniej szczęśliwych rzemieślnicy, fabrykanci, przemysłowcy polscy — w takim razie niechaj się ci ostatni pocieszą dość już blizkim terminem wystawy... paryzkiej. Gdy któremu z nich, jako nie-żydowi i nie-germaninowi, przyznają, dajmy na to, skromny medal brązowy, — tam, tylko jako zdolnemu *fachowcowi*, dadzą srebrny lub złoty. Wszak już tak bywało, i to niezbyt dawno — w Brukselli...

Różnie bywało z towarzyskiem życiem Warszawy ale o takiej inowacji o jakiej pomyślała świeżo „Resursa Obywatelska“ nikomu się dotychczas, jako żywo, nie śniło. Inowacja ma polegać na urzędzeniu w gmachu resursowym „wykwintnie umeblowanego pokoju“ do którego schodzący się mogły żony i córki panów członków Resursy, celem zabawiania się, jeżeli nie czytaniem, to grą na fortepianie a jeżeli nie grą na fortepianie, to... to... — zgadnijcie czem! — to grą przy zielonych stolikach.

„Biedne ognisko rodzinne! — wołają niektórzy koledzy dziennikarze. — Opuszczone, zgaśnię i wystygnię, jak zgasł i wystygł niegdyś w Rzymie święty ogień Westalek, gdy zabrakło kapłanek, wierzących w potęgę i świętość Westy.“

„A wtedy dokoła czego skupiać się będzie nasze życie rodzinne? Co robić mają dzieci — dodają malkontenci — gdy matki przy resursowych stolikach zabawiać się będą w „winta“, albo... w „bakara“?!

Och, niepokój zbyt czyny: z dziećmi, jak nie ma, tak nie będzie kłopotu. I one pójdą też na zabawę do... t a t . t e r s a l u, albo do — „Zwierzyńca“. Tylko że w tem ostatnim „ognisku towarzyskiem“ młodego pokolenia — pobyt, jak się obecnie pokazało, nie jest arcy-bezpiecznym. Może albowiem zdarzyć się, że w chwili najefektowniejszego wywracania koziółków przez przyszłych obywateli i obywatelki kraju, wypadną... z klatek dzikie bestye i do zgodnej hecy dziecięcej wprowadzą pewną... dysharmonię. I może z „rozbawioną dziatwą“ stać się to naprzykład, co się stało właśnie ze stróżem „Zwierzyńca“, nieszczęśliwym Kuczerskim, który w paszczy i objęciach niedźwiedzia zginął straszłą śmiercią.

Z powodu tego „wypadku“, słyszałem pewien szmer niezadowolonia wśród publiczności. Dlaczego — pytają — zarząd nie pomyśli o właściwych i skutecznych środkach bezpieczeństwa, przy pomocy których i służba obsługująca zwierzęta, i — ewentualnie — publiczność byłaby pewną życia w ogrodzie? Toć zdarzało się już i poprzednio, że niedźwiedzie wymykały się z „dołów“! Przepaszam, ale widzę, że atakujący sz. Zarząd Ogrodu zoologicznego nie są ludźmi dość wyrozumiałymi. Jeżeli istotnie jest to prawdą, że zarząd nie myśli dość ściśle o „środkach zabezpieczenia“ ludzi przed rozszarpywaniem ich przez dzikiego zwierza, dzi-

wie się temu tak dalece nie można, albowiem zarząd w ogóle, a pan „dyrektor“ Zwierzyńca w szczególności, myślą o wielu innych rzeczach. Naprzykład: o sprowadzeniu i pokazywaniu Singalezów, dalej o sprowadzeniu i pokazywaniu „olbrzymich wołów“ i „olbrzymich osłów“, dalej o urządzaniu wesołych... hec dziecińczych, i dalej jeszcze o sprzedaży na... akcje „Bagateli“ — dzisiejszej nieruchomości pana dyrektora — za marną... bagatelę 110 ciu tysięcy rubli!

Pytają też jeszcze malkontenci, ażali zarząd Ogrodu pomyśli teraz o losie wdowy po s. p. Kuczerskim i czworga jego dzieci? O, jestem tego pewny. Zarząd okaże się wspólniałomyślnym — i pozwoli czworgu sierotom brać bezpłacnie udział w zwierzyńcowych „rozrywkach“, o ile naturalnie będą one sieroty „przyzwoicie ubrane“. I wszystko będzie — dobrze...
Kamienny.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

I emancypacja nie jest wolna od niepowodzeń. — Czy rodzaj emancypacji wpływa na powodzenie? — Pani Lusignan i order Meluzyny. — Kontuzya adwokata w spódniczce i z turniurą. — Przykład emancypacji na sposób niemiecki. — Szczególny posag eóry pogromców. — Na paryżkiem poddaszu. — Przejście do polityki. — Boulanger i Juliusz Simon. — Z podróży cesarza Wilhelma — Rozwód króla Milana i jego reformy konstytucyjne.

„Jednemu sztyła gołą, drugiemu i brzytwy nie chcą!“... Tak było od początku świata i tak będzie prawdopodobnie po sam jego koniec. Dość powiedzieć, że sprawdza się to nawet na reprezentantkach płci pięknej, tych mianowicie, które idąc za duchem czasu, wyemancypowały się ponad ciasną sferę poziomych zajęć, w której je barbarzyństwo mężów-tyranów (czytaj: pantofłów) żelaznymi kleszczami niewoli trzymało.

Nie wiem czy powodzenie lub niepowodzenie zależy od rodzaju emancypacji — bo emancypacji jest tyle rodzajów ile jest emancypantek — ale to pewna, że nie wszystkie służą swym przedstawicielkom jednako.

Tak naprzykład pani Lusignan, która wywodząc ród swój z dynastji królów cypryjskich, wyemancypowała się nad poziom zwykłych śmiertelników i mieszkając sobie w Paryżu, żyje na stopie udzielnej monarchini, wiedzie się wcale nieźle. Ustanowiła ona order Meluzyny, który obdarzonego kosztuje *certum quantum*, a dzięki słabości ludzkiej do tego rodzaju odznaczeń, znajduje mnóstwo amatorów i założycielce swej znaczne przynosi dochody...

Za to nie powiodło się pannie Bery, córce deputowanego duńskiego, która przed jednym z trybunałów kopenhagskich, jako ukończona prawniczka, stanęła w charakterze obrońcy sądowego. Trybunał — o zgrozo! — uznał udzielone tej pani upoważnienie od jednej ze stron za nieważne!... Powstał ogromny krzyk na ten obskurantyzm i zacofanie, ale wiadomo że z ciemnotą i idiotyzmem idzie w parze upór, więc też trybunały się uparły: nie i nie!... No i nie było co robić; na upór, jak wiadomo, lekarstwa niema, więc wydział prawny uniwersytetu kopenhagskiego wynudził się naraz ze słuchaczek, które coraz gęściej poczynały ławy jego obsiadać.

Nie znalazła też powodzenia emancypantka na sposób niemiecki, która w gazetach podała o sobie ogłoszenie w tym guście, że „wdowa 30-sto letnia, zdrowa i żwawa, posiadająca 900 marek oszczędności i kompletną garderobę mężką po nieboszczyku mężu swoim (1 metr 68 centim. wysokim), życzy sobie wejść w powtórne związki małżeńskie“.

Kronika skandaliczna utrzymuje, że płeć szkaradna nie poznała się na wartości tyłu zalet i korzyści; ale mnie dochodzą wieści prywatne, że tak źle nie jest. Niemcy rodzaju męskiego umieliby ocenić tę propozycję, ale cóż, kiedy jej przyjąć nie mogą przez — sumiennosc... Oto żaden z nich nie trzyma akurat miary (1 metr 68 centymetrów!... Zdawało się że jeden już, już się nada; niestety! brakło mu jednego milimetra i niefortunny kandydat cofnął się jak niepyszny. Proszę zważyć, co to za delikatność sumienia! Słychać że czerstwa i żwawa 30-sto letnia wdówka zamierza podać nowy inserat, bez bliższego oznaczenia wzrostu nieboszczyka.

Tymczasem była znów jedna panienka, która nie posiadała ani garderoby, ani oszczędności i na której posag złożyła się rodzina i przyjaciele. I tak: ojciec ofiarował dwa stare lwy, stryj dwa młode krokodyle, jeden przyjaciel jeszcze nie bardzo steranego elefanta (wypchanego), przyjacielka parę bardzo złośliwych jaszczurek (zamarynowanych w spirytusie), brat parę grzechotników, a ktoś tam królika bez sierści. Żadny inwentarz roboczy, nieprawdaż? A jednak znalazł się taki co się nań ułakomił, a wraz z nim

starczenie temu złoicy argumentów ubliżających Kościołowi, jest narzędziem żydów, ożeniony z żydówką niemiecką Salomeą Brandt.

Wszystkie szkoły wyższe za kilka lat będą w rękach żydów. I dziś już w „Szkole wyższych umiejętności“ (*Ecole des Hautes Etudes*) filologię wyklada dyrektor adjunkt Henryk Weil; gramatykę porównawczą Michał Breal; język zendzki James Darmesteter; język semicki Józef Derenburg; język etyopski i himyarycki Józef Halevy; filologię i starożytności assyryjskie Juliusz Oppert.

Pomiędzy przywódcami w dziele niszczenia wszystkiego co przypomina dawną ojczyznę, odrębne miejsce należy się żydowi niemieckiemu Michałowi Brealowi. Ten wziął na siebie zadanie prześladowania Francji w jej literaturze pięknej, humanitarnej, (*humaniores litterae*), która człowieka czyni bardziej ludzkim, bardziej ucylizowanym. On był narzędziem tej odczuwanej przez wszystkich żydów potrzeby poniżania, niwelowania wszystkiego, o której tak często już w tej książce mówiliśmy.

Dzięki metodom pedagogicznym niemieckim, które Michał Breal zaprowadził we Francji, biedne mózgi naszych dzieci, zmęczone tysiącem najrozmaitszych wiadomości, stały się niezdolnymi do poważnego myślenia. Poziom nauk klasycznych obniżył się nagłe i doszło do tego, że kandydaci do bakalaureatu nie znali ortografii.

Wszystkie fakultety jednogłownie skarżą się w swoich raportach na ten oplakany upadek. Jeden z ludzi najkompetentniejszych w kwestyi nauczania p. Albert Duruy, ogłosił w tym przedmiocie pracę znakomitą, w której wybornie uwydatnia wszystkie zabiegi w celu wynaturzenia ducha francuzkiego, zapomocą wychowania młodzieży przeciwnego geniuszowi narodowemu.

„W tym sporze — mówi on — nie chodzi już o prostą kwestyę pedagogiczną, nie chodzi o odwieczne sprzeczki między starożytnymi i nowoczesnymi; — tu chodzi o jasny geniusz francuzki który usiłują zamrozić; tu chodzi o całe pokolenie, już i tak smutne, wychowane w boleści i we łzach, przy odgłosach kłeski, bez widoku nieba które mu zabrano i chwały która przepadła; tu chodzi o nasze dzieci które przeciążają i ogłupiają; chodzi o kraj nasz zgnębiony, rozbity, który, zanim wytchnął, chcą ugiąć pod jarzmo metod i kultury zagranicznej. Oto wielkie, oto prawdziwe niebezpieczeństwo nowych programów. Pominawszy inne ich wady, są one antypatyczne naszej rasie, nie zrodziły się one na ziemi gallów, na ziemi świętej; one zostały poczęte gdzieindziej, przybyły do nas wraz z najazdem, one go dopełniają, są dalszym jego ciągiem“.

Wszędzie spotykamy żyda, usiłującego wprost lub pośrednio zniweczyć naszą religię. Rozwód, to instytucja żydowska; żyd Naquet wprowadził rozwód w nasze prawa. Nasze piękne ceremonie pogrzebowe irytują żyda, i oto inżynier Salomon staje na czele stowarzyszenia propagującego palenie ciał, chciałyby je uczynić obowiązkiem.

Żyd, Kamil Séé, organizuje licea dla dziewcząt, z których wyklucza naukę religii!

Francuzi, nawet niezbyt gorliwi w swojej wierze, mówią temu człowiekowi: „Mój panie, dajesz tym dziewczętom wykształcenie wyrafinowane, wychowanie wyższe od ich pozycyi w świecie, każesz ich uczyć muzyki, sztuk pięknych, wiesz jak to trudno wyższe z lekcji na mieście. Postawione między haubą a ubóstwem, które im się będzie wydawało cięższem aniżeli naturom mniej wykształconym, te dzieci urzędników, starych żołnierzy, mieszczan, narażone będą na wielkie pokusy. Dla czegoż nie wpoić w ich serce jakichś wierzeń, które podtrzymują w życiu, jakiegoś ideału, który podnosi, który pociesza, który strzeże od upadków?..“

A on uśmiecha się, z tą miną impertynencką i arogancką, która w końcu odstręczyła od niego nawet wyborców z Saint-Denis. Wreszcie podpiwszy sobie, wyjawia myśl swoją tajemną. Tym bankierom, tym dorobkiewiczom wczorajszym, tym żydom którzy się otarli o cywilizację, potrzeba towarzyszek z lewej ręki któreby ich zabawiały, potrzeba owych *klipoth* (dziewcząt nie żydowskich), któreby uspakajały tych hipokondryków, tak jak Dawid ongi uspakajał swoją harfą szaleństwo Saula.

Być pastwą podatków, pastwą rozkoszy, pastwą dział, — oto przeznaczenie chrześcianina, jego córki, jego siostr. Dla tego to można napisać: „Szkola dziewcząt“ (*Ecole de filles*) na frontonie tych liceów, z których wyjdzie tyle nieszczęśliwych, zamało religijnych żeby uczciwe ognisko domowe otwarło się dla nich, zanadto wykształconych, aby przestały na nędznem stanowisku, pozostawionem kobietom w naszym zdeorganizowanym społeczeństwie.

W dzienniku żyda Walentego Symona „Echo de Pa-

ris“, były żołnierz komuny, p. Edmund Lepelletier, stwierdzając że pięćdziesiąt tysięcy młodych dziewcząt, z których trzy tysiące tylko zostało przyjętych, zgłosiło się w jednym roku do egzaminu na nauczycielki, skreślił obraz losu tych nieszczęśliwych *klipoth* nader pouczający mimo swej formy bratalnie realistycznej.

„Te nieszczęśliwe — pisze on — cisną się do tych miejsc obiecanych. Rozdano im ich w tym roku trzy tysiące. To dużo, powiecie? Niestety! podań było pięćdziesiąt tysięcy. Co zrobią, co robią obecnie, nie mówiąc już o tych które przepadły przy egzaminie, te czterdzieści siedm tysięcy nauczycielek bez miejsca, bez nadziei dostania posady? Gdzie je znajdziemy?

„Wiemy już że daremnie szukalibyśmy ich w warsztacie lub w magazynach. Nie zdołałyby się poniżyć do tego stopnia. Ale dobrze poszukawszy, odnajdziemy je wśród tych kobiet upadłych, pokrewnych poetom lirycznym bez odwagi, dziennikarzom bez dzienników, adwokatom bez spraw, oficerom wywłokom i różnym... dezterterom. W dymie piwiarni ujrzymy ich sylwetkę ironiczną i szyderską; wśród szczęku trącanych kufli i kieliszków usłyszymy je wygadujące na społeczeństwo; ujrzymy je perorujące w salach kawiarnianych, gdzie audytoryum stanowią pijane dziewczki, tam ujrzymy te beużyteczne płody wyższych szkół normalnych dziewczęcych. Paryż już się struła niemi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OPOWIADANIE.

przez Autorkę „Opowiadań“.

(Dalszy ciąg.)

Antek byłby jej chętnie padł do nóg, lecz nie śmiał tego uczynić.

— Hanus, Hanus, — mówił drżącym od wzruszenia głosem — Bóg ci zapłać za twoje piękne gadanie! On ci mnie przezwiał psubratem i nie wiedzieć czem... on się sromił, że strażak zaszedł do niego... on ci mnie zmięsział z błotem, gadając o swem grosiwie... a strażak przecie dniem i nocą baczny nad nim i nad jego grosiwem... Strażak w każdej godzinie zerwie się, leci i leci, nikiel nawiedzony w okrutny ogień, jak w piekielną. Tu zaś mur pada, albo ci na łeb belka, dach cały rynną; strażak nie pyta, jeno lezie tam, gdzie nikt nie wlezie: w dymisko, w iskry, w głownie. Weźmie się z ogniem za bary, a ogień, nikiel człek mocny i zdradliwy, czepia się strażackiego chodu, strażackich oczów, dusi sadzami, skwarzy gorącością... Ten z grosiwem wychrapuje se w pościeli naonczas, bo wie, że włos mu ze łba nie zleci, kiej swego łba strażak nadstawi. Hanus, jam ci ognisnie umiłowal ono strażactwo; człek w niem wie, że ludziskom zda się na co. Kiej mnie on przegnał od ciebie, to nie! podarowałem mu srom mój, bo na leciwego, jak on, grzech rękę podnieść; ale kiej tyś mnie wypędziła, wszystko mi zbrzydło, chciałem się zaprzepścić. Gdzie dyabeł nie mógł, tam leciał strażak, Skowronek. A pan brandmajster zwie mnie Skowronkiem, z piekła rodem, bo ja z umysłu leciałem już zawdy na uśmiercenie, nikiel piekielnik.

Raz ci dwa piętra gorzały, a jam się na strych wgramolił po żydówinę z bachorzętami. I nic im nie było, mnie jeno zgorzała krokiel przetrąciła nieco rękę. Dali mi *mental* i pieniędzy sporo... a co mi po tem? Jak wilczyśko wedle obórki, tak ja co dnia kołuję wedle tej kamienicy. We śnie cię widzę, w ogniu cię widzę, we dnie i po omacku, nawet w kościele stoisz mi ciągiem na oczach... Hanus, powiedz ty mi raz, mam li ja żyć w onej boleściwej tęsknicy?..

Ale, zanim Hanka zdołała odpowiedzieć, oboje posłyszeli dochodzący ich ze schodów astmatyczny kaszel pana Mateusza.

— O! rany boskie! — zawołała przerażona Hanka — tatulko wracają od spowiedzi. — Groza położenia ścinała jej krew w żyłach.

— Nie strachaj się Hanus! — uspakajał strażak — Stary mnie tu nie zejdzie, wyskoczę na on daszek przez okno — i tyle.

— Nie, nie! O laboga! nie dam ci wyskakiwać, bo się na śmierć zabijesz...

Kaszel zbliżył się do drzwi.

— Tu, — szepnęła dziewczyna, wskazując kącik za szafą — siedź jeno cicho, a kiej tatulko przejdą do drugiej izby, wypuszczę cię chyłkiem.

Zaledwie Antek ukrył się pod pękiem odzieży, roz-

wieszanej na gwoździach za szafą, gdy pan Mateusz zapukał do mieszkania.

— Więc, moje dziecko—ozwał się zaraz w progu—daj mi co jeść, bom zeczczal.—Lecz spostrzegłszy niezwyčajną bladłość dziewczyny, dodał:—Otóż to! giniesz mi w oczach, jak ruda mysz; a to wszystko przez tego urwipółcia strażaka.

W Hance krew zakrzepła ze strachu.

— Ot, masz! nie można rozgadać się, jak należy, o tym facecie, bo zaraz drżysz, jakbyś stanęła na cugu.. To istna kara Boża!—Potem całując ją w głowę, dodał—No, czekałaś dotąd, czekajże jeszcze dni parę!... Twój cymbał strażak poszedł pod sąd, jak go uniewinnią... zobaczymy!... Ale, ale... co to za kurza ta moja pamięć! zapomniałem na śmierć o Kuryerku. Skocz że, Anusiu, po niego! a przy kawie, będziesz mi czytała o pożarach... może ten niegodziszasz znowu wygarnął z ognia parę kup żydowstwa... A nie było tu listu do mnie?

Hance uwięzły w gardle słowa, potrząsnęła tylko przeczącą głową.

— To idźże! ale się odziej, bo wietrzno na dworzec! Przelecić się tobie nie zawadzi, zwłaszcza, że na ulicy może i świeższe powietrze, niż tutaj. — I zarzucając jej chustkę na ramiona, popchnął ją ku drzwiom.

Hanka wyszła w śmiertelnej trwodze.

Tymczasem pan Mateusz, snadź dla skrócenia sobie czasu w oczekiwaniu na kawę i Kuryera, przechadzał się wzdłuż pokoju i monologował.

— To już nie powietrze warszawskie, nie, nie! Ktoby się tego spodziewał, iż ona nie przeperswaduje sobie?... Trudno!... Poczekaj strażaku, skroję ci buty.. He, he! buty Mateusza Cepa, mógłby sam król nosić... A ten Barabasz strażak ze Słotwin pochodzi... i to też za nim przemawia.. Coby na to powiedziała ś. p. Salusia?... Juści ona także nie Herod... Panie świeć nad jej duszą! Zobaczymy co mi odpisze ksiądz proboszcz ze Słotwin.

Strażak oblewał się potem w swem schowanku; każdy wyraz pana Mateusza przejmował go straszłą paniką.

Nagle monolog pana Mateusza przerwało stukanie do drzwi.

— Więc kto tam?—zapytał pan Mateusz.

— Ja!—ozwał się głos za drzwiami.

— Co za ja?... aha, pewnie pan briftręger?

— Tak, briftręger!—powtórzono skwapliwie.

Pan Mateusz odryglował zasówkę. Lecz za ledwie usunął się na bok, by wpuścić do kuchni listonosza, gdy w tejże chwili wpadło dwóch drabów. Natychmiast jeden z nich zamachem pięści powalił starca na podłogę, siadł mu na piersiach i począł go ścisnąć za gardło. — Pan Mateusz jęknął głucho.

— Ani mi pisnij, stary trupie, bo cię zduszę, jak muchę!... Gdzie masz pieniądze? gadaj!

Drugi rabuś operował już przy szufladach.

Rozciągnięty, bezsilny i ściskany za gardło pan Mateusz, polecał ducha Bogu; nie było żadnej nadziei ratunku dla niego, — oprawca zaciskał mu coraz mocniej palce na gardle.

Nagle, nie wiedzieć z kąd, niby spadł z nieba, zjawił obrońca. Był to strażak o pięści, jak młot kuźniczny, o ramionach, niby cepy gospodarskie. I wnet, jak pasmo nitek odwinęły się garście od szyi pana Mateusza, sam napastnik odwalony uderzeniem tego młotu, legł jak długi bezprzytomnie. Cepy Słotwińskie nie pozostały w tyle za młotem, wzięły się twardo do obrony grosiwa warszawskiego Cepa; uczuł je zaraz na sobie ten plądrujący po szufladach, bo i on wkrótce leżał przy towarzyszu.

Pan Mateusz nie mógł się jeszcze podnieść na nogi, lecz oswobodzony z rąk tamujących mu tchnienie, wciągał teraz powietrze do płuc i wodził osłupiałym wzrokiem wkoło siebie.

Byłże to sen ciężki, straszna zhora nocna, czy rzeczywistość? Coś przerażającego działo się z nim przed chwilą, coś, co minęło... ale w skutek czego minęło?... Przy nim je czał, jakiś obdartus, leżąc prawie nieruchomie; drugiego potarbowanego niezgorzej, dzierzył twardo za kołnierz ktoś, niby znany panu Mateuszowi. Ten ktoś zwoływał ludzi na ratunek, choć sam się dzielnie załatwił z tą dwójką złodziejską, a widocznie nie dbał o pomoc ludzką.

Zwolna przychodziła świadomość faktu do umysłu starca; uniósł głowę z podłogi i usiadł, lecz nie miał jeszcze sił potrzebnych do dzwignięcia się na nogi. Tak, został na padniętym przez złoczyńców, którzy dla zdobycia jego pieniędzy, nastawali na jego życie... Lecz z kąd się tu wziął ten strażak, ten pogromca opryszków? czy wyrósł z pod podłogi? ...

Nagle myśl gorzka przesunęła się przez mózg starca: Anusia go oszukuje... Anusia jest występna!... Nieboszczka Salusia była mądrą szewcową, każde jej spostrzeżenie na wagę złota położyć można... A on się już począł ludzić! — O! Stwórco miłosierny! — jęknął — i bez czucia osunął się znowu na podłogę.

Tymczasem na krzyk strażaka, zbiegli się tu lokatorowie z całej kamienicy, a za nimi przyszedł stróż. Wtedy Antek puścił z rąk swego więźnia, a podniósł pana Mateusza i złożył go na łóżko.

Wkrótce tłum napelniał schody, a zbiegowisko przed domem, ściągnęło i policję. Nadszedł rewirowy i zawezwał zgromadzonych do rozejścia się. Hanka wracając z bulkami, nie mogła przecisnąć się na schodach.

Rzeczowano straszne rzeczy: jedni utrzymywali, że się tu zawałiła oficyna i gruzy przysypały mieszkańców; drudzy, że zbójcy wyrznęli całą rodzinę i krew się leje strugą na schodach; inni, że on i ona zażyli trucizny, bo rodzice nie zezwolili na ich połączenie.

Niebawem policjanci, w towarzystwie strażaka i rewirowego, wyprowadzili na ulicę dwóch złoczyńców.

— Antek! — krzyknęła Hanka i zachwiała się na nogach, tak ją ten widok przeraził.

Strażak chciał biedz do niej, ale pan rewirowy powoływał go z sobą do cyrkułu, więc tylko ozwał się głośno:

— Idź do stryja! dziękować Bogu, nic mu nie jest.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NIEDZIELA W EDYNBURGU. ZE WSPOMNIENIŃ PODRÓŻNYCH St. PIASTA.

(Dalszy ciąg.)

Zawstydzilem się przed samym sobą na samą myśl żem przypuszczał i tu obłudę angielską — i odtąd z dobrodziejstwem inwentarza przyjmuję wszelkie anegdoty, wymyślone przez lekkomyślnych mieszkańców stałego lądu Europy, dla ośmieszenia wśród wyspiarzy brytańskich tego, czego w domu u siebie nie mają.

Po obiedzie, zatrzymałem się w moim *Temperance*-hotelu dłużej, a zwiedzając numera mieszkalne, — wdałem się, w dłuższą rozmowę z jego właścicielem. Z tej rozmowy dowiedziałem się, że *Temperance* hotele w Anglii i Szkocyi cieszą się niezwykłą popularnością, że bardzo często miejsca w nich dostać nie podobna, a że przy zwiedzaniu numerów mieszkalnych dostrzegłem moralne sentencje Biblii, wypisane różnokolorowemi literami na ścianach, przeto domyśliłem się ich wpływu na średnie zwłaszcza klasy społeczne. I gdy spożywszy w takim hotelu obiad, opuszczał go, by zobaczyć jak Edynburg wygląda w Niedzielę po południu, — długo jeszcze stały mi na pamięci słowa, jakie w każdym nieledwie pokoju czytałem: „Pamiętaj, abys dzień święty święcił“.

Pamiętaj abys dzień święty święcił! Święcą go w Edynburgu w Niedzielę rano, święcą i po południu. I rano, i po południu bowiem, wszelki ruch w mieście jest wstrzymany. Różnica pomiędzy dwiema porami tego dnia jest ta, że gdy rano, zwłaszcza też podczas nabożeństwa, rzadko ujrzysz *cab* na ulicy, — po południu natomiast, u stóp pomnika Waltera Scotta, stoi ich już kilka, jedno i dwukonnych. Jest to ustępstwo dla wymagań czasu; dawniej bowiem w Niedzielę nie widziałeś ani jednego konia na ulicy, wszystko co żyło musiało świętować. Ale że zwyczaj ten był zbyt niedogodnym, zwłaszcza też dla coraz liczniej napływających do stolicy Szkocyi cudzoziemców, więc upadł on, ku wielkiemu zgorzzeniu tłumów, uważających po dawnemu jazdę w Niedzielę za profanację dnia świątecznego. Chociaż jednak w Niedzielę jeżdżą *cabami* po ulicach, to jednak „Towarzystwa religijne“ agituja gorliwie przeciwko i tej dość niewinnej rozrywce. Miałem na sobie żywy tego dowód, gdy pewnej Niedzieli rano, nie wiedząc co z czasem zrobić w Edynburgu, pragnąłem udać się w okolice miasta, do *Queens-ferry*.

Chcąc urzeczywistnić mój zamiar przybyłem na stację *Waverley* i tam istotnie znalazłem jedyny *Hausom cab*, jednokonny wózek na dwóch kołach, z siedzeniem dla powożącego w tyle. Jest to wózek będący w powszechnym użyciu w Anglii i w Szkocyi, zgrabny i lekki więc odpowiedni do najdalszych podróży. Pytam za ile mogą jechać do *Que-*

i na jego właścicielkę. Co prawda, jest to pogromca zwierząt. Złośliwi twierdzą, że sztuka jego w tym razie nie na wiele się przyda; chociaż bowiem od biedy i według teoryj... najnowszych męczyznę dałoby się pod kategorię zwierząt podciągnąć, kobiety nigdy do niej zaliczyć nie można.

Ludzkość podobna jest do tych twarzy potwornych, które jedną połową śmiać się, drugą płakać umieją. Człowiek przeciętny tak jest już ręką losu chłostany, tak otrząskany z jego zmianami, że od najgwałtowniejszego przejścia z wesela do bólu, serce mu nie pęka. Tem rozumowaniem uspokojony, powiem Wam teraz co się świeżo zdarzyło w Paryżu.

Pewnego dnia, w pewnym domu przy ulicy Montmartre, na poddaszu począł się zrana rozchodzić czad węglany. Mieszkańcy pierwszych pięter od nieba, znają tę woń złowrogą, więc jaki taki wyszedł ze swojej izdebki i jął się oglądać za źródłem podejrzanego zapachu. Wkrótce przekonano się, że on wydobywa się z pokoiku, zajmowanego przez wdowę z synkiem jedenastoletnim. Była to kobieta nie stara, zmizerowana ale piękna jeszcze: znać było, że pochodziła z bytu lepszego i z lepszego świata. Nie komunikowała się z nikim, nikt do niej nie przychodził, ale ilekroć przechodziła pełna cichej godności i mimowolnego wdzięku, z ślicznym chłopcem u boku, wszystkich spojrzemia biegnęły za nią sympatycznie.

To też wpośród sąsiadów co się zeszli na korytarzu powstał żywy niepokój: zapukano do drzwi, a gdy nikt nie otwierał, wyważono je. Spodziewany już, a mimo to wstrząsający widok przedstawił się oczom wchodzących. Na biednym łóżeczku, tapczaniu prawie, spoczywali matka i syn, spleceni we wzajemnym uścisku — martwi. Naśrodku stała niepozorna sprawczyni mordu, mała fajerka z wypalonym węglem. Na stoliku leżał frank, przy nim kartka papieru a na niej kilka wyrazów ręką dziecka nakreślonych: „Tego ostatniego franka przeznaczam na wianek na trumnę najdroższej mateczki!“...

Fakt niby prosty, zwyczajny! Dwoje ludzi, a raczej kobieta z dzieckiem, odebrali sobie życie zapomocą gazu węglowego, — i koniec; ale umysł z przerażeniem cofa się przed zajrzeniem w głąb tego strasznego dramatu, który musiał się rozegrać w duszach tych dwojga, kobiety zmęczonej życiem i dziecka, któremu się życie dopiero usmiechać poczynało, zanim w nich dojrzał samobójczy, obopólny zamiar pożegnania na zawsze bólu i rozkoszy tego świata.

Sunt lacrymae rerum! Są fakta, które opowiedziawszy, nie się już nie opowiada... Chybaby coś ze świata politycznego; to świat zupełnie inny, odrębny, świat w którego grę uczucie wcale nie wchodzi; więc wstąpiwszy wewnątrz, odrazu można ochłonąć, uspokoić się, i stać się chłodnym jak... jak polityka.

Otóż tedy we Francji Boulanger górą! Skoro taki Julius Simon może takie o nim pisać artykuły jak ten, który świeżo wydrukował dziennik „Matin“, to papiery jego muszą iść w górę. Jul. Simon wygaduje na Boulanger'a i na jego stronników, nazywa ich zbrodniarzami albo głupcami, ale koniec końcem porównywa Boulanger'a z Napoleonem III-cim, przepowiada że przyjdzie do władzy, tylko rządy jego tem się od napoleońskich odróżnia, że wojna z Niemcami zaraz w pierwszym ich roku wybuchnie. Boulanger, mimo tego, że w ostatnich czasach wciąż mówi o pokoju, jest, według Simona, uosobieniem odwetu. Simon, zwłaszcza jak na nieprzyjaciela, znakomitą tym artykułem oddał Boulangerowi, wobec opinii publicznej usługę.

Cesarz Wilhelm udał się do Lipska na zapowiedzianą uroczystość położenia kamienia węgielnego pod gmach najwyższego trybunału niemieckiego; natomiast podróże do Hiszpanii i Portugalii a tembardziej do Stambułu, zostały podobno odłożone na rok przysły.

Król serbski Milan, chcąc zatrzeć złe wrażenie, jakie gwałtem prawie wymożony przez niego rozwód z królową Natalią sprawił na znacznej części jego poddanych, postanowił ująć sobie opinię publiczną i zjednać miłość powszechną ustępstwami konstytucyjnymi. Zwołał na 1 Grudnia (s. s.) wielką sejmikową, która ma się zająć gruntowną zmianą konstytucyi, w duchu swobód narodowych, i słowem królewskim przyrzekł, że na wybory do tej sejmikowej rząd nie będzie wywierał żadnego nacisku.

Proklamacya królewska sprawiła rzeczywiście w kraju bardzo dobre wrażenie, ale wywołała niezadowolenie w Berlinie i Wiedniu, gdzie nie dowierzają dalszemu przebiegowi tej akcyi konstytucyjnej i obawiają się, żeby przy znanej różnorodności i gwałtowności stronnictw serbskich, król Milan swoich reform konstytucyjnych utratą tronu nie przypłacił.

Pomieniałby stryjek, za siekierkę kijek... ale takie rzeczy na konstytuancjach się zdarzają!

E. Jerzyna.

KRONIKA BIEŻĄCA Krajowa i Zagraniczna.

Wystawa w Muzeum Przemysłowem. W Muzeum przemysłowem warszawskiem, podobnie jak lat poprzednich, otwarta została wystawa przemysłowa. Przyznać należy, że wystawa obecna, tak pod względem liczby wystawców, jakoteż ilości wystawionych przedmiotów, przewyższa swoje poprzedniczki. Ogółem, katalog wystawy zawiera około 200 stu nazwisk, a wystawa sama obejmuje szereg działów. Najlichniej reprezentowanym jest dział wyrobów stolarskich, rzeźbiarskich i tokarskich, liczy on bowiem 52 wystawców. Dalej idą działy: wyroby metalowe wystawców 49; wyroby ceramiczne wystawców 17; wyroby szklane, hutnicze wystawców 7; zabawki dla dzieci wystawców 10. Nadto kilkanaście osób przedstawiło wyroby włościańskie z różnych okolic.

Z każdym z tych działów nieomieszkaamy zapoznać bliżej czytelników w treściwym sprawozdaniu, jakie na tem miejscu, częściowo, podawać zamierzamy.

Ważna sprawa. Według doniesienia pism petersburskich, na obecnej sesji Rady Państwa, między innymi przedmiotami, mają być dyskutowane: projekt zmiany przepisów propinacyjnych; przepisy o spółkach do handlu zbożem; przepisy o towarzystwach kredytowych — i wreszcie wnioski komisji ustanowionej w celu obmyślenia środków podniesienia cen produktów rolnych.

Wielki dom komisowy. Organizuje się podobno spółka kapitalistów petersburskich i polskich, z celem utworzenia w Odessie wielkiego domu komisowego dla wywozu zboża. Na czele przedsiębiorstwa stanąć mają p. p. Korsak i Aleksander Jełowicki, obywatele gub. Podolskiej. Obecnie kantory zbożowe w Odessie postanowiły nie wysyłać zboża za granicę, lecz pozostawić je w składach aż do wiosny; panuje tam bowiem przekonanie ogólne, że ceny, jakie obecnie płać na rynkach zagranicznych, ulegną znacznej jeszcze podwyżce. Na fakt ten zwracamy szczególną uwagę naszych czytelników wiejskich.

Nowy sposób wyzysku. Z Płockiego piszą do nas: „Nasi „polacy moźeszowi“, w wynajdywaniu najniegodziwszych sposobów najniegodziwszego wyzysku, są widocznie niewyczerpani. Oto bowiem, w Płocku utworzyła się szajka spekulantów-żydów, która, pod wodzą swojego współwyznawcy, niejakiemu A..., rozwinęła działalność godną jak najsurowszego napiętnowania. Działalność ta mianowicie polega przedewszystkiem na dowiadywaniu się u rejentów miejscowych, kiedy i jaki majątek sprzedawanym będzie przez licytacyę. Pozyskawszy wiadomość taką, szajka — nie mając najmniejszego zamiaru kupna — składa *vadum*, staje niby do licytacji — za pośrednictwem swego przywódcy, owego A..., który znowu — faktycznie interesowanym czyni propozycyę taką: „Dacie panowie tyle a tyle, to odstąpimy; — nie dacie? — to podbijemy cenę i popłaczymy wam interesa“. Taki właśnie fakt wydarzył się niedawno, przy licytacji majątku Ślepkowo, położonego pod Płockiem a stanowiącego własność Lisickich i Smoleńskich. Majątek wystawionym został na sprzedaż w celu jedynie dopełnienia formalności prawnych — przy uregulowaniu działu majątkowego, oraz stosunków hipotecznych; nie było zaś na majątku tym ani grosza, nietylko żydowskiego, ale żadnego zgoła długu. Mimo to przecież, wódz wspomnianej szajki żydowskiej stanął rzekomo do licytacji i zażądał od interesowanych rs. 600, grożąc im, iż w razie gdyby haraczem tego nie otrzymał, narazi ich, co najmniej, na zwłokę w uregulowaniu stosunków majątkowych. Bezcelna ta propozycya żyda została tym razem odrzuconą ze wstrętem, ale też za to licytant fikcyjny podbił cenę majątku, a przystępujący do działu stracili na tem „podbiciu“ do 900 rubli! I jakże się tu bronić przed wyzyskiem takim? — jak ominąć onego niecnego pasorzyta, który drogą *niby* legalną wciska się wszędzie i wysysa wszystko, byle siebie tylko utuczyć?“

L. S.

W „ciężkich czasach“. „Dawno już — donosi jeden z Kurierów — Warszawa nie widziała tak licznego zgromadzenia, jak wczoraj na *premierze* (świeżo przybyłego) cyrkul! Od rana już kasa była zamknięta, handel biletami kwitnął, pod wieczór zaś płacono po 30 rubli za łożę, a po 10 rs. więcej za krzesło!“

Jak w tych „ciężkich czasach“, objaw to ciekawy i pouczający, a w każdym razie wart — zastanowienia.

Nowości wydawnicze. Nie ustający ani na chwilę w szlachetnym, błogosławionym trudzie czcigodny O. Prokop Kapucyn — wydał znowu dziełko p. t. „Żywot pierwszych siedmiu świętych sług Maryi“. — Rzecz tę, jak i wszystko co wychodzi z pod piórnego pióra zasłużonego prawdziwie autora, polecamy szczególniejszemu uwadze czytelników.

REKLAMY.

Nakładem Noskowskiego wyszedł z druku w starannem opracowaniu literackim i z obfitym działem informacyjnym kalendarz na rok 1889—p. t. „Kalendarz dla wszystkich“.

P. Ludwik Niemojowski wydał komedię w jednym akcie (wierszem) p. t.: „Owoc zakazany“.

Z prasy. „Tygodnik Ilustrowany“ z powodu Dnia Zadusznego pomieścił w ostatnim swym numerze, pod tytułem: „Zaduszki“, kilkadziesiąt nagrobków ludzi „zasłużonych na różnych polach“ a pochowanych na cmentarzach warszawskich, nie wyłączając... cmentarza żydowskiego (!). Być może że „Tygodnik Ilustrowany“, w swojej tendencji judofilskiej czy tam „assimilacyjnej“ pragnie pójść tak daleko, że aż chciałby wynaleźć, czy wprowadzić jakieś „Zaduszki“... „izraelskie“; w każdym jednak razie mieszanina taka nagrobków żydowskich z krzyżami chrześcijańskimi i takie apologowanie żydów z okazji święta katolickiego, o ile „Tygodnik“ nie ma być pismem wyraźnie bezwyznaniowem, wydaje nam się wielce niewłaściwem...

„Dziennik dla wszystkich“ pomieścił szereg godnych uwagi i nader interesujących artykułów p. t.: „Z odmętów szwindlu“.

Jedno z warszawskich pism „postępowych“ polemizując z drugim, także „postępowem“, takim mówi językiem:

... „Więc też ilekroć który z przedstawicieli trzody (!) p. Pilta, (redaktora i wydawcy petersburskiego „Kraju“) czy to utuczony okaz, czy nawet jeden z wypasanych dopiero *podświnków* (!!), zacznie wygłaszać zasady polityki realnych interesów, niemieszkamy zawsze wołać: *a ciu! a do chlewa maluskie!* (!!!)“.

To się nazywa „demokratyzacją“ prasy „postępowej“!

Z teatru i muzyki. Na scenie warszawskiej ma być wystawionym „Ryszard III ci“ — Szekspira.

W teatrze Rozmaitości grana będzie w przyszłym już tygodniu nowa komedia hr. Koziembrodzkiego p. t.: „Przedstawiciele firmy Müller i S-ka“.

Na tejże scenie ma być wznowiona: „Panna-Mężatka“ Korzeniowskiego.

Rozpoczęły się już w Warszawie „koncerty symfoniczne“.

Urządzane od lat dwóch przez tutejsze Konserwatorium Muzyczne „wieczory kameralne“ odbywać się mają i w sezonie bieżącym. Pierwsza serya wieczorów rozpocząć się ma już w d. 26 b. m. z udziałem samych profesorów Konserwatorium warszawskiego.

Zmarli: Ś. p. Ludwik Głębowski malarz religijny, rodem z Lublina—zm. w Chicago. Majątek swój w sumie 8,000 dolarów zapisał na rzecz utworzenia kasy pomocy nauczycieli, artystów i literatów w Chicago.

Ś. p. Józef Rostkowski b. oficer b. wojsk polskich i obywatel ziemski—zm. w Warszawie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Sz. ks. J. Galicz w Kluszcach.—Dzieło wiadome, jest i nam znane, lecz pisać o niem nie możemy.. Ogłoszenia będą. Za pamięć dziękujemy uprzejmie.

Sz. Ks. J. Rasiński w Łodzi.—Na liście prenumeratorów naszych Sz. Ks. Dobrodziej nie figuruje. Nie wiemy przeto, czy w otrzymanym przez nas liście idzie o zmianę adresu, czy też o wysyłanie „Roli“, jako nowemu abonentowi.

Sz. ks. L. Ł. w Surkowie.—Kwestya załatwiona. Reklamacja była niewłaściwie przesłana. Za dobre słowo dziękujemy serdecznie.

P. Wik... Zob... w Kuj... — Prosimy o wskazanie numeru „Gospodarza“, w którym był artykuł, a przedrukujemy najchętniej.

Panu Z. B.—Tak jest: i tam zostało kategorycznie odwołane.

Warszawianinowi z Oj... — Podniesiemy najchętniej i bardzo wyraźnie. Przedtem jednak musimy mieć koniecznie adres i nazwisko sz. pana, o zakomunikowanie nam których, dla naszej jedynie wiadomości, najuprzejmiej prosimy.

Autorce Opowiadań.— Za list dziękujemy stokrotnie; odpowiedź wręczymy pani Sak..., skoro tylko raczy nas odwiedzić. Co do zdania o „Strażaku“, zaszło widocznie jakieś niezrozumienie. Za rzecz tę tylko wdzięczni sz. Pani być możemy.

„Prenumeratorowi z Nowego Świata“.—Pan Sz. jest żonaty z katoliczką, więc nie może być tak jak pan pisze; zresztą interpelacyj anonimowych uwzględniać nie możemy.

P. B. Kondratowicz z Grodna i p. J. Przybylski z Kretyni.— Dziękujemy uprzejmie; będzie w jednym z numerów najbliższych, w rubryce: „Chleb dla swoich“.

P. S. Ch... w Rzek...—Owszem,—z przyjemnością. Czy możemy położyć cały podpis sz. pana?

P. Jul... Heppen w Warsz.—Będzie w przyszłym N-rze.

P. War... z Warsz.—Być może; ale opinia jakichś... najmitów żydowskich, nie mających nic do stracenia, a mogących coś zyskać, ani nas grzeje, ani ziębi. Chcąc przeprowadzać konsekwentnie zadanie raz podjęte, musimy stać koniecznie po nad wszelką podłość i jej intrygami.

Dentysta- lekarz L. SZYMAŃSKI Przejazd Nr. 2 wstawia zęby systemem własnym, ulepszone od rs. 2 z gwarancją od 3 do 5-ciu lat. Leczy, plombuje, przy operacji znieczula ból. Przyjmuje od godz. 10-jej do 2-jej i od 3 do 7-jej. (4—4)

STUDENT

wydziału fizyko-matematycznego poszukuje lekcji lub korepetycji przedmiotów gimnazjalnych. Oferty proszę składać w Red. „Roli“ — dla „Studenta“.

Głuchota i szum w głowie. Jak uwolnić się od tych cierpień? Po objaśnienia zwracać się do J. K. Nicholsona 4 rue Drouot. Paryż. (Francya). (9—3)

Młoda osoba z prowineyi, wykwalifikowana Nauczycielka z muzyką i francuzkim, życzy sobie przygotowywać nawet do wyższych klas gimnazjalnych za mieszkanie i życie. *Wiadomość w Redakcyi „Roli“ Nowy Świat Nr. 4.* (3-3)

NAJWIĘKSZY WYBÓR DZIEŁ (18,000 tomów)

polecają Czytelnie J. Jelenieckiego. Jedna Nowy-Świat Nr. 4. druga Bielańska Nr. 9 (Hotel Paryzki).

Abonenci wnoszący półroczną opłatę z góry, otrzymują jako **PREMIUM BEZPŁATNE**, Kalendarz „Wieku“ lub Kalendarz Ungra na rok 1889. (6—1)

OGŁOSZENIA.

ENCYKLOPEDIA WIELKA

(ORGELBRANDA)

28 tomów, dobrze oprawnych, do sprzedania za rs. 120 — u Ks. Proboszcza w Będkowie — poczta Rokiciny. (3—3)

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-45
i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Bielańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nowo-
zownicznych—oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach
najumiarkowańszych.

Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu).

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki,
Koldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki
„Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

Fabryka Wyrobów Platerowanych i Bronzowych

Egzystuje od r. 1856 (26—5)

BRACI HENNEBERG.

Poleca wielki wybór przedmiotów tak platerowanych jako i Bronzowych, trwało, sumiennie wykonanych, które po cenach umiarkowanych sprzedaje w magazynach: Plac Teatralny Nr. 11 i róg Krakowskiego Przedmieścia i Trębackiej. Kościelne aparata poleca, tak gotowe jako i na zamówienia, podług własnych lub nadesłanych rysunków. Zaszczyczona na wystawach medalami;—na ostatnich trzech Medale Złote.

Polski Kantor Bankierski

RADZISZEWSKI i S-ka (52-45)

WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

Następujące dzieła Ks. J. GALICZA

są do nabycia we wszystkich księgarniach :

Muzyka Organowa z nut literalnych, czyli przegrywki ze wszystkich tonów na organy lub melodykon. Wilno. *Cena w oprawie kop. 90.*

Muzyka Kościelna zawierająca 6 mszy do grania na organy ze śpiewem i bez śpiewu (3 msze światłe i 3 żałobne) z nut literalnych. Wilno. *Cena w oprawie kop. 75.*

Pytania Katechizmowe na które każdy chrześcjanin katolik z łatwością odpowiedzieć powinien. Wilno. *Cena kop. 12, z przesyłką kop. 16.* (5-1)

Do nabycia w Red. „Roli“ 5-1

działko p. t. :

KONFERENCYE o głównych artykułach wiary katolickiej ze stanowiska liturgiczno-społecznego — miane do alumnów seminarium w Wilnie, przez Ks. KITKIEWICZA. *Cena kop. 75, z przesyłką pocztową kop. 85.*

Do wdzierżawienia na lat 3, każdego czasu (6-6)

MŁYN i TARTAK

W Pętkowicach pow. Hłecki gub. Radomska

Pierwszeństwo dla Chrześcianina

Wiadomość o warunkach w Lipienicach, p. Jastrzab st. dr. żel. lw. Dąbrowskiej.

Do wdzierżawienia

na dobrych warunkach, w każdym czasie, kilka majątków i folwarków w powiatach: Oszmiańskim (gub. Wileńska) i Nowogródzkim (gub. Mińska). Szczegóły w zarządzie dóbr Żemłosławia, przez poczt. teleg. stac. **Żemłosław** (gub. Wileńska), dokąd się jedzie: Wilno-Rowieńską D. Ż. do stacyi Biniakonie. (3-3)

DO WYDZIERŻAWIENIA (3-1)

od 23 Kwietnia 1889 r. majątek Kwiatkowce w pow. Oszmiańskim gub. Wileńskiej. Wysiano żyta 167 dziesięcin. Można od tegoż 23 Kwietnia wdzierżawić, razem z majątkiem, młyn, krupernie, dom zajezdny etc. w przyległym miasteczku Sobotnikach. Od 23 Kwietnia 1890 będą do wdzierżawienia 2 przyległe folwarki. Szczegóły u Właściciela Emila Umiastowskiego Bernadyński Zaułek 18 w Wilnie.

A. KIERST I S^{ka}

5. Bielańska 5.

(vis-a-vis Danilowczowskiej)

SPECYALNA FABRYKA I MAGAZYN

BIELIZNY MĘZKIEJ

CENY NIZKIE!!!

Najlepszy krój Koszul Męzkich.

26-13

Żelazka stalowe do prasowania w wielkim wyborze (5-3)

poleca:
EDWARD DUSOGE

Nowy Świat Nr. 5 (wprost Straży Ogniowej).

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885.
DYPLOM UZNANIA.

ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.

MAGAZYN MEBLI ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowania pokoiów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracje, podług najwiewszych żurnali (13-6)

Magazyn Ubiorów Męzkich
Karola Miniewskiego
Senatorska 29

I sze piętro
obok kościoła Ś-go Antoniego — vis-à-vis A. Feista.



OTRZYMAŁ
nieobiekny sezon
**Wielki Wybór
MATERIAKÓW**

z których wykonywa obstalunki po cenach bardzo przy
stępnych. — Na prowincję wysyła próby i sposób brania
miary samemu sobie. (20-8)

FABRYKA i MAGAZYN

**WSZEKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY
KONNEJ JAZDY I POLOWANIA**

T. L. BREYMEYER, — Warszawa

Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

poleca
Kufry — Walizy — Torby — Sakwojaze
Płaszcz gumowe — Buty filcowe
Kurtki — Płaszcz i Spodnie skórzane
Torby myśliwskie — Futerały na broń
Portmonetki — Pugilaresy — Portcigary — Woreczki i t. p.
Wszelkie reperacje uskuteczniają się szybko i dobrze. (52-12)

MAGAZYN MEBLI

K. Dziegielewskiego

Ś-to-Krzyżka Nr. 5.

Poleca wielki wybór mebli stylowych i fantazyjnych,
oraz najświeższe dekoracje. (26-23)

Egzystująca od r. 1869. (12-12)

FABRYKA ROBÓT KOŚCIELNYCH I SALONOWYCH

ST. WYSOCKIEGO

w WARSZAWIE, Nowy-Świat Nr. 21.

Poleca znaczny wybór, od najskromniejszych do najwytworniejszych, stylowych ram, zawsze gotowych, w rozmaitych miarach; przytem ma na składzie obrazy olejne treści religijnej i rodzajowej. Fabryka stale wykonywa roboty kościelne i takowe w najtrwalszy sposób odnawia, szcząc się tyloletniem zaufaniem.

Plac Teatralny 18
obok Ratusza

J. N. BRONIKOWSKI

PAPIER (19-12)

Materyały piśmienne i rysunkowe
w wielkim wyborze — po cenach niskich.

J. N. BRONIKOWSKI

Plac Teatralny 18
obok Ratusza



MAGAZYN UBIORÓW MĘZKICH J. WĄGROWSKIEGO

w Warszawie

Długa Nr. 27 (25) vis-à-vis Hotelu Drezdeńskiego.

Zaopatrzoney w wielki wybór materyałów krajowych i zagranicznych z najpierwszych fabryk,—a także posiada znaczny zapas gotowej garderoby po cenach umiarkowanych, a mianowicie:

Palta zimowe	od rs. 22	Spodnie	od rs. 5
Garnitury marynarkowe	„ 22	Kamizelki	„ 2.50
Surduty wizytowe	„ 20	Burki Sławuckie	„ 22
Garnitury tużurkowe	„ 28	Szlafroki	„ 12

oraz wielki wybór kamizelek sztuczkowych od 3 do 12.

Wszelkie obstalunki wykonywają się na żądanie
w ciągu 24 godzin.

6 4



(6-3)

Czapki Karakułowe i Skórki na kołnierze,
Czapki Bobrowe, Piżmowcowe i t. p. Wielki
wybór i b. tanio sprzedaje Magazyn

ANTONIEGO TUCZYN

w Warszawie ulica Podwal N. 16
Filja w Radomiu Rwańska 38.



MAGAZYN

FELIKSA ZAREBY

ulica Miodowa Nr. 8.

Egzystujący od roku 1861.

Posiada znaczny zapas obuwia
Damskiego, Męskiego i Dziecinnego.
Przyjmuje wszelkie obstalunki
i reperacye.

Ceny przystępne, z gwarancją

Buciki skórkowe damskie od rs. 4. — Kamasze męskie od rs. 4 kop. 75.

Skład Nici
i Towarów Galanteryjno-Norymberskich

HELENY BONICZKOWSKIEJ

Krakowskie-Przedmieście 41

naprzeciwko ulicy Bednarskiej

ma zaszczyt polecić:

Gorsety, Guziki, Hafty, Koronki krajowe, Krawaty, Kryzy (Crepe plisse), Woalki, Wstążki, Wyroby pończosznicze i Włóczkowe po cenach przystępnych. (12-10)

Treść numeru: Pasorzyty i pasorzyty.—Listy z Galicji.—Francya zdydziała (d. c.) — Opowiadanie przez autorkę „Opowiadań”(d. c.)—Niedziela w Edynburgu. Ze wspomnień podróży. St. Piasta (d. c.)—Na posterunku, feljton Kamiennego.—Z całego świata.— Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. — W odcinku: „Narwańcy”, powieść przez T. Jeske-Chońskiego (d. c.)—**W Dodatku:** Sprawozdanie handlowe.—Ogłoszenia.

Redaktor i Wydawca Jan Jeleński. Дозволено Цензурою.— Варшава 26 Октября 1888 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Świat N-r. 61)

Zimowa kuracya Kefirem

w zakładzie przy ulicy Królewskiej Nr. 31 (nowy, wejście z frontu), od godziny 7-ej rano do godziny 10-ej wieczorem, latem zaś w ogrodzie Saskim, w własnym pawilonie, byłym D-ra Przysiańskiego.

Zakład zaszczycony wyższymi nagrodami na Kaukazie, w Charkowie, Warszawie i na Wystawie HIGIENICZNO-LEKARSKIEJ i PRZYRODNICZO-DYDAKTYCZNEJ, urządzonej w czesie V. Zjazdu Lekarzy i Przyrodników Polskich we Lwowie.

P. S. Dla Zakładów Dobroczynnych i niezamożnych chorych kefir za pół ceny.

Właścicielka Zakładu Kefiru leczniczego

Klaudja Sigalina z Kaukazu.

(6-1)

Królewska 31.

KUCHENKI naftowe, benzynowe

NAJTANIEJ

u EDWARDA DUSOGE

Nowy-Świat Nr. 5,

(wprost Straży Ogaiowej).

(5-3)

Ważne dla P. P. Myśliwych!



Gilzy metalowe Lancastera mego wynalazku, przewyższające wszystkie dotychczasowe, wytrzymałe z górą 60 strzałów; wchodzą i wychodzą po strzale z lufy swobodnie, sprzedają bez różnicy kalibru, z przesyłką pocztą w obrębie Królestwa 8 rs. setkę, 25 sztuk 2 rs. pistony Berdauna do tychże 60 kop. 250 sztuk.

Broń, rewolwery, Gilzy papierowe w ogóle Amunicyę, wyrabiając sam sprzedają po cenie fabrycznej, sumienną reperacyę, przeróbki po cenie najniższej.

Pojedynki odcyłkowe dla młodzieży do strzelania srebrem 18 rs. z przyborem.

Handlującym rabat.

Cenniki na żądanie franco. (52-21)

Parowa Fabryka Broni Rewolwerów i Amunicyi

JULIANA STAPF, w Warszawie,

Magazyn z dniem 1-go Października r. b. przeniesiony został na ul. Hr. Kotzebue Nr. 10 (wprost Telegrafu). Kantor zaś, pozostaje przy Fabryce i Strzelnicy, Nowy Świat Nr. 43.